Cena 20 zł

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI | Warszawa, 2 lipca 1950 r. | Nr 26 (240)

Tadeusz Mazowiecki

Kierunek myśli społecznej

Wkraczając w sferę tak trudną i drażliwą, jaką stanowi myśl ludzka trudno jest pozbyć się obaw przed niebezpieczeństwami jakie towarzyszyły zawsze i towarzyszą wszelkim próbom wytyczania jej kierunku. Niezależność myśli od wszelkich narzuconych, w sposób autorytatywny nakazów stanowi niewątpliwie zasadniczą rękojmię jej powodzenia i prawdziwie skutecznych wyników. Z drugiej jednak strony całkowity laisser-faire'yzm myślowy, o jakimś wręcz anarchistycznym podkładzie, jest sprzeczny z naturalną tendencją, właśnie rozumu ludzkiego do planowania, do ułożenia sobie wytycznych działalności, zarówno w dziedzinie czynu jak i poznania w sposób zorganizowany i w miarę systematyczny. Rozsądek ludzki każe szukać i w tej dziedzinie harmonijnej, organicznej syntezy. Nie wchodząc w szczegółowe rozważania na ten temat warto tylko zauważyć, że synteza taka jest osiągalna wówczas, gdy respektuje trzy zasadnicze postulaty. Pierwszym jest uznanie przez planującego i tego, który planowi podlega pewnych kardynalnych podstaw wspólnych i wspólnego celu; drugim przyznanie prawa wychodzenia w oparciu o te podstawy poza nie, słowem prawa szerokiego rozwijania podstaw, rozwijania jednak zgodnie z wspólnie wytyczonym celem; wreszcie trzeci postulat — to uznanie prawa do błędu, przy kategorycznym zabowiązaniu unikania go w imię dobra realizowanego celu.

Jeśli nawiązałem do tych zagadnień to nie dlatego by przyznawać niniejszym rozważaniom atrybut jakiegoś planu rozwoju myśli społecznej katolików wyznających własną, socjalistyczną ideologię. Artykuł ten nie rości sobie pretensji autorytatywnego planowania rozwoju tej myśli, jest raczej propozycją sygnalizującą potrzebę większego niż dotąd i bardziej systematycznego rozwijania jej założeń, oraz potrzebę uświadomienia sobie jej zasadniczej linii kierunkowej.

Użyłem słowa propozycja. Trzeba określić adresata. W sposób pełny i bezpośredni adresuję te uwagi do ludzi podzielających nasze poglądy ideowe. W drugim stopniu do tych katolików, którzy nie wyznają ideowo założeń socjalistycznych, jednakże rozumowo liczą się z faktem istnienia i rozszerzania się rzeczywistości socjalistycznej.

Opierając się na całym dorobku naszej publicystyki, artykułem tym bezpośrednio nawiązuję do trzech ostatnich wypowiedzi ideologicznych naszego Zespołu. Mam tu na myśli następujące artykuły — wyliczając chronologicznie: B. Piasecki „Skala wydarzenia" Nr 11/231, M. Rostworowski „Na drugim etapie" Nr 22/236 i W. Żegocki — „Perspektywy dialogu" Nr 25/239.

POZYCJE WYJŚCIOWE

Nim dotrzemy do zasadniczej problematyki tego artykułu trzeba ustalić pozycje wyjściowe do poruszanych tu zagadnień. Ich podkreślenie jest tu o tyle konieczne, że pomimo, iż były one już nie raz przedmiotem otwartych wyjaśnień ciągle jeszcze na tym polu nie brak istotnych nieporozumień, które i teraz mogłyby zniekształcić rzeczywisty obraz.

Punktem **pierwszym** jest tu zagadnienie **samodzielnej odpowiedzialności.** Wynika stąd dla myśli socjalistycznej katolików bezwzględny nakaz nienadużywania autorytetu wiary i Kościoła w formułowaniu własnych postulatów. Wiadomą jest rzeczą jak często autorytet ten był w poprzednich okresach dziejów nadużywany i stąd jeszcze bardziej obowiązuje nas sumienna troska. Działanie bowiem polityczno-społeczne katolika, czy w ogóle wierzącego wystawione jest na specjalne niebezpieczeństwo wynikające z łatwości mieszania własnych ziemskich celów z celami, ku którym wiedzie nas religia. Maritain pisze na ten temat — („Religia i Kultura") — **„Mieszanie religii z wartościami doczesnymi wydaje swój owoc. Jest nim przekształcanie się katolicyzmu w świadomościach zakłamanych w pewną partię, a katolików w jego stronników. Katolicyzm nie jest partią religijną, jest on religią, jedyną religią prawdziwą. Rozrost Królestwa Bożego nie ma nic wspólnego z doczesną walką, czy doczesnym zwycięstwem".** Ten sam myśliciel formułuje znaną tezę o autonomii celu doczesnego, która pozwala na bezbłędne ustawienie sfery doczesnej aktywności człowieka w perspektywach jego ponadziemskiego celu.

Od nadużywania religii w doraźnej aktywności politycznej, nie daleko do odwróconej o 180° — a równie niebezpiecznej skrajności — zgłaszania całkowitego desinteressement wobec rzeczywistości politycznej pod pozorem obawy przed pokreślanym tu niebezpieczeństwem — rozumianej jednakże w sposób fałszywy. O takiej postawie pisał w 1937 r. francuski publicysta E. Borne w „La Vie Intellectuelle" — **„stajemy się każdego dnia coraz więcej podobni do magika, będącego w posiadaniu eliksiru szczęścia, którym się innych olśniewa, ale żadnego zeń użytku nie czyni".** — „Katolicy z miną pewnej wyższości zostawali w roli widza i obserwatora, nie biorąc prawie nigdy odpowiedzialności za losy dziejów. Syciła ich świadomość, iż nawet katastrofy, wojny, rewolucje i zamachy obracały się w argument przeciwko tym, którzy za te losy wzięli odpowiedzialność".

Ustalmy wniosek: unikając zasadniczego błędu pozostawiania rzeczywistości dziejowej jej własnemu biegowi trzeba z całą sumiennością i czujnością dbać o własną postawę i o wyrażane postulaty, by w żadnej mierze nie nadużywać autorytetu wiary w doraźnej działalności społeczno-politycznej. Formułowane postulaty, podporządkowane w sposób bezwzględny nakazom etyki, stanowić muszą przedmiot naszej własnej, świadomej odpowiedzialności. **Rolą, którą wyznaczamy politycznej działalności katolików, nie jest w żadnej mierze apostolstwo bezpośrednie, lecz optymalna realizacja urządzeń społecznych, służąca w sposób pośredni wiecznemu celowi człowieka.** Zadaniem więc myśli socjalistycznej katolików nie jest ferowanie wyroków i osądzanie czyjegoś katolicyzmu na podstawie zbieżności, czy rozbieżności z naszymi historycznie określonymi i uwarunkowanymi postulatami ideowymi. Przedmiotem osądu, także i moralnego, może być tu tylko spór o najlepiej rozumiany sposób współczesnej realizacji autonomicznego celu doczesnego.

Rzecz oczywista mamy tu prawo żądać wzajemności.

Drugim punktem wyjściowym tych rozważań jest **zagadnienie postawy wobec postulatów socjalistycznych.** Sprawę tę trafnie postawił w swym ostatnio ogłoszonym artykule W. Żegocki, obnażając fałszywość koniunkturalnego podejścia do problemu wyboru postawy społecznej. Wypada tu tylko ważność tego zagadnienia przypomnieć i podkreślić, że czysto koniunkturalna postawa, w dziedzinie rozwoju myśli społecznej, jest o tyle jeszcze niedopuszczalna, że przekreśla w sposób całkowity jej ideowy charakter. Mówimy zaś o myśli społecznej której zadaniem jest nie tylko czyste poznanie, ale, która na podstawie możliwie obiektywnego poznania bierze na siebie trudny, a nieraz i niewdzięczny obowiązek formułowania normatywnych postulatów. A więc postulatów ideologicznych, wykraczających poza sferę zgodnego z rzeczywistością stwierdzenia istniejącego stanu rzeczy, ale możliwie skutecznie formułujących świadome oddziaływanie na rzeczywistość społeczną.

Wreszcie **ostatni** punkt wyjściowy — to właśnie **stosunek do istniejącej rzeczywistości.** Do zagadnienia tego wracamy stale. Tu trzeba tylko generalnie ustalić, że **myśl socjalistyczna katolików postulując maksymalne w zakresie zgodności ideowej i etycznej zaangażowania się w dziejącą się rewolucję, ustosunkowuje się do kształtu realizacji socjalizmu przez marksistów niemechanicznie, lecz w zależności od stopnia zgodności z własnymi postulatami doktrynalnymi.** Na płaszczyźnie tak pojętej zgodności szuka podstawy współżycia dla społeczności zróżnicowanej światopoglądowo w ramach jednego ustroju.

LINIA KIERUNKOWA

Wspomniane we wstępie trzy artykuły, do których bezpośrednio nawiązuję, dają wyraz pełnej świadomości, że współczesna rewolucja socjalistyczna kierowana przez ruch marksistowski jest rewolucją **nie tylko społeczno-gospodarczą, ale z samych swych założeń ideologicznych wkracza we wszelkie dziedziny życia.** Zjawisko to ma niezwykle ważne konsekwencje dla właściwego ustawienia postawy socjalistycznej katolików.

Nie doceniać wpływu światopoglądu na konkretne postulaty społeczne równałoby się myślo- [illegible]

Oświadczenie Episkopatu Polski
w obronie pokoju

WARSZAWA, PAP. — KS. BISKUP DR ZYGMUNT CHOROMAŃSKI, SEKRETARZ EPISKOPATU, ZŁOŻYŁ W DN. 22 BM. NA RĘCE DYREKTORA URZĘDU DO SPRAW WYZNAŃ — ANTONIEGO BIDY, OŚWIADCZENIE NASTĘPUJĄCEJ TREŚCI:

KS. BISKUP DR ZYGMUNT CHOROMAŃSKI, SEKRETARZ EPISKOPATU, ZOSTAŁ UPOWAŻNIONY DO ZŁOŻENIA NASTĘPUJĄCEGO OŚWIADCZENIA W IMIENIU EPISKOPATU:

DO APELU SZTOKHOLMSKIEGO, JAKO WSPÓŁCZYNNIKA POKOJOWEGO ZAŁATWIANIA SPRAW MIĘDZYNARODOWYCH, EPISKOPAT USTOSUNKOWUJE SIĘ POZYTYWNIE I BĘDZIE POPIERAŁ AKCJĘ POKOJOWĄ, ZAPOCZĄTKOWANĄ ZBIERANIEM PODPISÓW POD APELEM.

ENERGIA ATOMOWA, TO NAJWIĘKSZE ODKRYCIE GENIUSZU LUDZKIEGO WINNA SIĘ PRZYCZYNIĆ DO USZCZĘŚLIWIENIA LUDZKOŚCI, A NIE DO JEJ ZAGŁADY.

W-wa, dnia 22 czerwca 1950 r.
Ks. Biskup Dr Z. Choromański
Sekretarz Episkopatu

* * *

Enuncjacja wyżej zamieszczona, świadcząca o solidaryzowaniu się Episkopatu Polski z Apelem Sztokholmskim jest wydarzeniem dużej wagi.

Przede wszystkim należy podkreślić, że udział Episkopatu Polski w akcji pokoju nadaje jej jeszcze bardziej charakter uniwersalny, co jest podstawowym warunkiem osiągnięcia celu tej akcji, to znaczy wygranie walki o pokój. Następnie wystąpienie Episkopatu potwierdziło jeszcze raz dobitnie, że tam, gdzie chodzi o realizację zasadniczych celów współczesnej polskiej racji stanu tam nie może być różnic pomiędzy Polakami, za wyjątkiem jednostek politycznie nieodpowiedzialnych albo po prostu przestępczych. Sprawa bowiem pokoju to sprawa integralnie związana z utrwaleniem naszych granic zachodnich, z realizacja naszych wielkich planów gospodarczych zmierzających do odbudowy i przebudowy gospodarczej kraju oraz podniesienia dobrobytu całego społeczeństwa, a więc krótko mówiąc z tymi wszystkimi celami, które stanowią treść współczesnej polskiej racji stanu.

Decyzja Episkopatu Polski jest oczywistą konsekwencją stanowiska zajętego przez Episkopat w porozumieniu z dnia 14 kwietnia br. Byliśmy przeświadczeni, że decyzja ta nastąpi, czemu dawaliśmy wyraz w szeregu wystąpień. Fakt, że nie nastąpiła bezpośrednio po zawarciu Porozumienia nasunął pewne wątpliwości co do istotnego stanowiska Episkopatu. Dzisiejsza enuncjacja budzi jednak silną nadzieję co do dalszego wcielania w życie zasad, tak wyraźnie sformułowanych w Porozumieniu.

Jak wiadomo, około 70 procent duchowieństwa już podpisało Apel Sztokholmski. Dziś idąc za przykładem Episkopatu również pozostałe 30 procent winno dokonać tego obowiązku obywatelskiego. Następną konsekwencją omawianego wydarzenia winien być, zgodnie z wezwaniem Episkopatu masowy udział społeczności katolickiej w dalszej akcji pokoju. Nie może już dziś być żadnej wątpliwości, że obowiązkiem każdego katolika duchownego i świeckiego jest walka o pokój, walka przejawiająca się w codziennej pracy, której efekty im są większe, tym bardziej zwiększają siłę Narodu, siłę obozu pokoju w zdecydowanej postawie wobec tych środowisk amerykańskich i innych im podległych, które w imię egoistycznych interesów dążą do pogrążenia całego świata w pożodze nowej wojny.

nizmowi. Byłoby to zresztą zaciemnieniem obrazu postawy zarówno cudzej jak i własnej. Przeciwnie świadomość zarówno ważkich zbieżności, jak i zasadniczych sprzeczności ideowych zachodzących między marksistami, a katolikami - socjalistami umożliwia trafny wybór kierunku i sposobów działania.

Postawa socjalistyczna marksistów i postawa socjalistyczna katolików wynika z innego pnia światopoglądowego. Przy zasadniczej różnicy celu ostatecznego, któremu ma służyć optymalna organizacja życia społecznego istnieje względna zbieżność w realizowaniu urządzeń społecznych, opierająca się na zasadniczych podstawach ustroju socjalistycznego. Światopogląd nie jest jednak rzeczą prywatną, jego charakter wywiera zasadnicze konsekwencje na postulaty społeczne i metody ich realizacji. Stąd też stwierdzenie zbieżności i sprzeczności, daje umyślowości żądającej nieskomplikowanej drogi, drogi bez ryzyka, ale też powiedzmy to — i bez trudu — sytuację pozornie bez wyjścia. Stąd tych, którzy podejmują trudną drogę wyjścia naraża na nieprzemyślany zarzut godzenia wody z ogniem.

Odpowiedź jest ciągle trudna i ciągle równie bezwzględna. Nie należy oczekiwać od marksistów, że budując ustrój socjalistyczny wyrzekną się konsekwentnej realizacji swego światopoglądu. Naszym zadaniem jest trafnie wysnuć konsekwencje wynikające z faktu pierwszeństwa dziejowego marksistów w podniesieniu socjalitycznego buntu społecznego, z pierwszeństwa, które dało właśnie im w ręce ster historii nowej epoki. Widząc w postulatach społecznych marksizmu pierwiastki zagubione przez postawę katolicką, ale i nie zacierając świadomości różnic w konsekwencjach społecznych powodowanych przez różnice światopoglądów musimy ideowo pogłębić elementy zbieżne pozwalające na współdziałanie, stwarzając przez to możliwości skuteczniejszego oddziaływania naszego światopoglądu na kształt nowego życia. Nie ma tu światopoglądowego kompromisu, jest natomiast uznanie w postawie przeciwnika światopoglądowego nie tylko tego, co z naszego stanowiska jest będne, lecz i tego co jest dobre. Takie podejście jest zobowiązujące. Dla nas przedstawia ono nakaz podjęcia trudu **wywalczenia humanistycznej płaszczyzny współzawodniczenia światopoglądów.** Nie możemy się oglądać na nikogo. Płaszczyzna taka nie zostanie nam dana, musi ona być przez nas stworzona drogą wykazania, że postawa katolicka nie może być utożsamiona z postawą antyrewolucyjną, przeciwnie, że jest ona w pełni zdolna twórczo pogłębić postawę rewolucyjną.

Warto tu uczynić istotną dygresję. Rzecz jasna, że mówiąc o postawie katolickiej mówimy o jej elementach społecznych. Przypominając cytowany uprzednio fragment Maritaina, chciałbym podkreślić, że rozumiem doskonale, że **pełna, a najpoprawniejsza społecznie postawa katolicka, to jeszcze coś daleko więcej niż postawa rewolucyjna.** Jej korzenie bowiem i horyzonty sięgają dalej, poza widnokrąg życia na ziemi. Postulowanie trafnej, rewolucyjnej postawy katolików nie jest zubożaniem jej od pozaziemskich związków i przeznaczeń. Jest tylko szukaniem trafnego wyrazu jej treści społecznych, zdolnych w konkretnych warunkach historycznych najskuteczniej i najpełniej podjąć trud realizacji autonomicznego celu doczesnego.

Zasadnicza linia kierunkowa socjalistycznej myśli społecznej katolików wyznaczona jest dwustronnie. Przez wyznawany światopogląd katolicki i sformułowane postulaty socjalistyczne i przez aktualną rzeczywistość, której rozwojowi ta myśl ma służyć. Wzięcie pod uwagę obu tych czynników pozwala stwierdzić, że jej naczelnym zadaniem jest włączenie się w trud wywalczenia humanistycznej płaszczyzny współzawodniczenia światopoglądów. Stąd więc za jej zasadniczą **linię kierunkową** uznać trzeba rozwijanie założeń socjalizmu po linii równouprawnienia światopoglądów. Linia ta obejmuje zarówno pogłębianie odpowiedzialności za dziejące się przemiany, umacnianie ideologicznych podstaw zbieżności socjalistycznej marksistów i katolików, jak i pogłębianie ideowego wpływu na kształt przemian i tworzących się form życia.

Realizacja tej linii kierunkowej wymaga pełnej sumienności w pogłębianiu i rozszerzaniu własnego światopoglądu, pełnej czystości w rzutowaniu wiecznych zasad doktryny katolickiej na aktualne postulaty społeczne. Jednocześnie wymaga także równej sumienności w poznawaniu przeciwnej doktryny. Trawestując znane powiedzenie Garaudy na kongresie KPF pod adresem katolików — musimy uczyć się poznawać doktrynę marksistowską, taką jaka jest, a nie taką jaką chcielibyśmy ją widzieć. I to obojętnie w jakim kierunku to „chcenie" by nie szło, trzeba wykazać maksimum sumiennego obiektywizmu.

Obok tego za obowiązujące należy przyjąć dwa zasadnicze zastrzeżenia. Pierwsze z nich formułuje M. Rostworowski słusznie przestrzegając katolików przed postawą mentorów rewolucji. Na drugie wskazuje W. Żegocki gdy podkreślając potrzebę podejmowania dialogu ideologicznego z marksistami pisze — „wszelki dialog ideologiczny między chrześcijanami a marksistami jest możliwy tylko wówczas, jeśli rzczywiście nie stanowi on, sprowadzania socjalizmu na drogi utopijne i jeśli potrafi wydobyć z siebie akcenty twórcze tak przekonywujące, że nie narazi się na zarzut, iż jest świadomą czy nieświadomą formą dywersji". Oba te zastrzeżenia trzeba w pełni respeketować, pod grozą zmniejszenia skuteczności własnego oddziaływania.

Nakreślona tu linia kierunkowa wymaga naświetlenia jej charakteru treściowego.

Wielu współczesnych myślicieli katolickich, także tych którzy liczą się z konsekwencjami nadchodzenia epoki socjalizmu uważa za naczelne zadanie myśli katolickiej obronę indywidualnych wartości jednostki ludzkiej, jako wartości zagrożonych przez rewolucję, zbyt często przechodzącą ponad jednostką i jej słusznymi prawami. Określają to jako postulat obrony zdrowych treści indywidualizmu.

Kierunek taki nie wydaje się słuszny. Nie dlatego by nad tymi zagadnieniami przechodzić do porządku dziennego, by nie dostrzegać ich. Dlatego, że grzeszy niepełnością. Konstruowanie takiej dialektyki rozwoju myśli katolickiej, że zawsze należy podejmować te elementy, które są najbardziej zagrożone, a więc w epoce liberalizmu winny to być elementy społeczne, w epoce socjalizmu elementy indywidualne — wydaje się dość ryzykowne, zakłada bowiem, stałą, chroniczną ułomność tej myśli. S. Kisielewski, z którym skądinąd trudno się zgodzić w jego postulatach społecznych, w ostatnim artykule o liberalizmie przypomniał trafne zdanie K. Irzykowskiego, że polemikę należy podejmować w najcięższych i najtrudniejszych punktach spornych. W ramach sporu światopoglądowego z marksistami myśl katolicka musi podjąć polemikę w najtrudniejszym punkcie — konstrukcji człowieka, konstrukcji pełnej osoby ludzkiej. Spór ten podejmujemy nie tylko na drodze czysto intelektualnej, ale w pierwszym rzędzie przez kształcenie właściwej postawy człowieka. Stąd więc przed myślą katolicką stoi postulat uzbrojenia tej postawy, co jest wykonalne jedynie przy nastawieniu na pełne kształcenie nowego typu człowieka, zarówno więc jego elementów indywidualnych jak i społecznych, które, jak uczy filozofia tomistyczna, integralnie wiążą się w konstrukcji osoby ludzkiej. Stąd więc nie obrona zdrowych nawet pierwiastówk indywidualizmu ale **pełne rozwijanie i wnoszenie personalizmu w treść rewolucji socjalistycznej nadać winno właściwy charakter myśli katolickiej.** Walka bowiem o personalizm w ustroju socjalistycznym jest tym zadaniem, które mamy wykonać.

Warto tu jeszcze odpowiedzieć sobie na jedno pytanie. Czy tak rozumiana linia kierunkowa społecznej myśli katolików, jak wyżej charakteryzowaliśmy ma tworzyć postulaty na dziś, czy dopiero aktualne w przyszłości. Zasada wystrzegania się wszelkiej utopijności, daje w gruncie rzeczy niedwuznaczną odpowiedź: trudno mieć zaufanie do recept na przyszłość, zakładających z góry swą nieprzydatność i pełną niemoc na dziś. Nie należy jednak wysuwać skrajnego postulatu krótkowzroczności. Dać postułaty na dziś, rozwiązywać problemy dzisiejsze, a jednocześnie ukazać je w dalekiej perspektywie, trudnej lecz wielkiej drogi wnoszenia chrześcijaństwa w treść nowej epoki — to jest właśnie zadanie, któremu ta myśl musi sprostać.

ZADANIA PIERWSZOPLANOWE

Wśród zadań, które wybijają się na plan pierwszy wymieniłbym trzy jako najbardziej zasadnicze.

Pierwszym jest pogłębienie treściowych związków między doktryną i filozofią katolicka a postulatami społecznymi. Podkreślam: związków **treściowych.** Akcent ten ma to znaczenie, że chodzi mi tu o podkreślenie potrzeby pogłębienia właściwego „sensus catholicus" w problematyce społecznej, a odrzucenie wszelkich prymitywnych i powierzchownych związków. Analiza historyczna myśli społecznej katolików reprezentowanej w różnych epokach winna dać wiele cennego materiału, pozwalając widzieć osiągnięcia i błędy trafnych i nietrafnych adaptacji wiecznych prawd Kościoła w konkrecie historycznym. Może to usunąć wiele nieporozumień i dać wiele istotnych wskazań. Praca ta nie jest jednak wystarczająca. Musimy pogłębić i urealnić związki treściowe pomiędzy wiecznymi zasadami doktryny katolickiej i pomiędzy jej głównymi nurtami filozoficznymi a wyrażanymi przez nas postulatami społecznymi. Podjęcie tego zadania warunkuje pełne rozszerzanie własnej postawy ideologicznej.

Sprawa druga. B. Piasecki we wspomnianym na wstępie artykule wykazał przekonywająco jak wielkie znaczenie dla podjęcia sporu światopoglądowego z marksizmem ma **likwidacja postawy fideistycznej.** Ten wielki problem jest zadaniem nie tylko czystej filozofii, czy teologii. Jest zadaniem także myśli społecznej, która musi obnażyć społeczne uwarunkowania postawy fideistycznej i wskazać w jakim stopniu nowe warunki życia mogą wpłynąć na ugruntowanie nowej, pełnej i twórczej postawy religijnej.

Wreszcie **trzecie** z generalnych i pierwszoplanowych zadań to **rozszerzenie i pogłębienie kontaktu z aktualną problematyką mas.** Jest on stale niedostateczny i stale nie wychodzi poza sferę ogólnikowych twierdzeń. Musimy zawsze pamiętać, że bazą socjalistycznej działalności jest klasa robotnicza i świat pracy. Pogłębienie znajomości historycznej problematyki warstw dotąd upośledzonych, wysnucie z tego trafnych wniosków, oraz pełna wrażliwość na odczuwanie aktualnych trosk i potrzeb winno być obowiązującą normą przy konstruowaniu postulatów społecznych, które tym potrzebom pragną służyć. Teza ta jest tu powtórzonym ogólnikiem. Musimy ją przełożyć na konkret w szczegółowej problematyce społecznej. Jeśli ją w tej ogólnikowej formie powtarzam, to dlatego, aby przypomnieć, że wyjść poza nią oznacza wyjść poza obręb postawy socjalistycznej.

ZAMIAST ZAKOŃCZENIA

Starałem się tu podać szerszemu naświetleniu linię kierunkową rozwoju myśli socjalistycznej katolików, oraz nakreślić jej charakter i podstawowe generalne zadania. Rzecz jasna to sprawy nie wyczerpuje. Mam świadomość luk i niedoskonałości artykułu. Chciałbym tylko, by obarczono nimi autora, a nie ideę, której chce służyć.

Byłoby dobrze pamiętać jeszcze o jednym. W tych sprawach nie ma zakończenia i zamknięcia. Świadczyłoby to o skostnieniu, sperfikowaniu ideologii, która będzie przydatną, skuteczną i słuszną tylko wówczas, gdy będzie otwarta i żywa.

Do tego potrzeba nam umiejętności pochylania się w skupieniu nad każdym napotykanym zjawiskiem, szczerej troski o kształt rzeczywistości w której żyjemy i szerokiego oddechu myślowego. Wyrobienie tych umiejętności zależy od nas samych.

Tadeusz Mazowiecki

MAREK ANTONI WASILEWSKI

Harce wichru

Wiatr morskim szumem hucząc, nadleciał,
Uchwycił sosen bujne czupryny,
Podniósł pył z ziemi gęstą zamiecią,
Wygiął gałęzie jak żagli liny.

I szaleć począł między drzewami
Rozchwiane sosny pragnąc okiełznać.
Chwilę przystanął, odetchnął, zamilkł,
Jak gdyby płuca tchnieniem napełniał.

A po tym znowu na drzewa wskoczył,
Dosiadł ich mocno, ścisnął okrakiem,
Czubki wątlejszych z ziemią połączył,
Ściągnął im cugle żylastą łapą

I targał wściekle, zginał, szamotał,
Drzewa mu biły korne pokłony,
Niczym królowi, co budzi postrach.
Na nic nie zważał wicher szalony.

Dalej je męczył i dalej huczał,
I dalej szumiał, dalej wywijał,
Aż się zbudziła zaspana burza,
A wiatr się z sosną słaniał jak pijak.

Błysnęło w niebie, noc pękła światłem,
Burza dostrzegła wicher na sosnach
I pokłóciła się burza z bratem
Nawymyślała mu grzmotem siostra.

By go ostudzić w dzikim szaleństwie
Głowę mu zlała deszczem, jak z cebra.
Porzucił wicher harce królewskie,
Skulił się mokry i cicho szemrał.

Dźwignęły sosny głowy zmęczone,
Dłonie gałęzi wzniosły do deszczu,
Każda rzeźwiła swoją koronę,
A wiatr nacichał trwożnie szeleszcząc.

Przypadł im do stóp, przepraszał, głaskał,
Już otrzeźwiony przez zimne strugi,
Leżał jak słaba istota, płaska,
Aż wreszcie westchnął i — całkiem umilkł.

Wanda Gładysz

Katedra Św. Jana

Zniszczenie kościoła św. Jana by ło ciężkim ciosem dla Warszawy. Jeden z najważniejszych i najbar dziej charakterystycznych zabytków stolicy, był zarazem i skarbcem pamiątek po sławnych ludziach. Z prawdziwym wzruszeniem patrzymy na ciężko i z trudem dźwigające się mury.

Początki jego związane są ściśle z historią książąt mazowieckich. Mazowsze dostało się we władanie potomkom ks. Kazimierza Sprawiedliwego i dynastia ich rządziła księstwem do roku 1525, ciesząc się miłością i poważaniem poddanych.

Trudno oznaczyć ściśle datę powstania świątyni. Wiadomo tylko, że już w drugiej połowie XIII wieku ks. Konrad założył miasto Warszawę i zbudował zamek na wysokim brzegu Wisły. Zamek ten był początkowo drewniany, tak jak i kaplica ufundowana dla załogi zamkowej i dla służby książęcej. Były to czasy Wojen Krzyżowych o wyzwolenie Grobu Chrystusa z rąk niewiernych i imiona patronów zakonów rycerskich nadawane były najchętniej powstającym kościołom. Więc i ta kaplica poświęcona została św. Janowi Chrzcicielowi. Z czasem godłem kościoła stanie się ścięta głowa św. Jana na półmisku. Nabożeństwa w nowozbudowanej kaplicy odprawiali zakonnicy z kościoła św. Jerzego, powstałego albo w tymże czasie, albo według niektórych historyków jeszcze wcześniej.

Częste napady litewskie były przyczyną parokrotnych pożarów zamku i katedry. Toteż już w r. 1261 (według ks. Kwiatkowskiego) ks. Konrad zbudował kaplicę murowaną. Ks. Bolesław II, panujący do roku 1313 wystarał się, aby kościół stał się parafialnym. W r. 1339, za ks. Trojdena, w roku Sądów nad Krzyżakami, kościół był już z pewnością murowanym i parafialnym i służył Delegatom Apostolskim za miejsce obrad. Są już na to dokumenty.

Książęta mazowieccy dbali wszyscy o utrzymanie i wzbogacenie świątyni. Zwłaszcza ks. Janusz I Senior, który jest jego prawdziwym i prawie zapomnianym fundatorem. Był to, jak pisze Długosz; „pan najmędrszy i najznakomitszy pomiędzy współczesnymi książętami, państwo jego kwitnęło, bo najsprawiedliwiej w nim rządził a był umiarkowanym tak, że go za przykład wskazywano." On to dobudował do istniejącego prezbiterium trzy nawy, które przetrwały do ostatnich czasów przed wojną. Kościół hallowy, pod względem architektury należał do północno-polskiej grupy kościołów, budowanych pod wpływem architektury krzyżackiej. Kolumny były smuklejsze, niż po przebudowie XIX wieku. Świątynia była kryta bardzo wysokim stromym dachem. Lauterbach podaje, że pracowali tu w roku 1473 dwaj murarze z Gdańska Piotr Sommerfeld i Mikołaj Tyrold. Widok ówczesnej fasady nie zachował się na żadnych wizerunkach, ani w żadnych opisach, istnieją tylko widoki późniejszej — po przebudowie XVII wieku. Wydaje się jednak, że dolna część z frontowymi oknami, oraz prezbiterium, nie zmieniły swej architektury od XIV wieku.

Książę Janusz, dobrodziej księstwa i stolicy, pochowany został w podziemiach kościoła, nie pozostało jednak śladu po jego grobowcu. On to uzyskał od papieża Bonifacego VIII przeniesienie kanoników z Czerska i ustanowienie Kolegiaty.

Z późniejszych książąt specjalnymi dobrodziejami kościoła była ks. Anna i jej mąż Bolesław III. Córka ich Anna, a siostra dwóch ostatnich książąt — Janusza i Stanisława zbudowała na kościele wielką wieżę drewnianą, uwidocznioną na widokach Warszawy z XVI wieku i dała wewnątrz kamienną posadzkę. Wieża ta runęła podczas wielkiego huraganu w r. 1602, szalejącego nad Warszawą.

W połowie XVI wieku mieszczanin warszawski Grzegorz Baryczka przywiózł podobno z Norymbergii piękną postać Chrystusa, prawdopodobnie dzieło pracowni Wita Stwosza, którą uratował od spalenia za czasów Reformacji. Figura Zbawiciela wykonana w drzewie lipowym, obciągnięta płótnem, odznacza się prawdą i przejmującym wyrazem. Czczona, jako cudowna, była przedmiotem kultu od chwili przywiezienia jej do Warszawy. W XVI wieku wybudowana została kaplica Cudownego Pana Jezusa — przez Klejnotta Małopolskiego.

Ks. Anna wystawiła też piękny grobowiec z czerwonego marmuru swoim braciom zmarłym śmiercią tragiczną i tajemniczą. Umarli w wieku pierwszej młodości.

Spadkobiercami ich zostali królowie polscy — Jagiellonowie Anna Jagiellonka, specjalna opiekunka miasta zbudowała przy kościele dzwonnicę w r. 1586. Zdaje się, że stawiali ją architekci królowej— Odoliński i Balcer Szpaner, w surowym gotyckim stylu, tak zwanym „Rohbau". W tymże czasie wykonane zostało przejście do zamku.

Od czasu przeniesienia stolicy do Warszawy, to jest od czasów Zygmunta III kościół zapełniał się coraz większą ilością pomników i ołtarzy. Król ufundował wielki ołtarz wraz z obrazem, zamówionym specjalnie u znakomitego Palmy młodszego, obrazem podziwianym przez znawców, a wyobrażającym postać Maki Boskiej w asyście św. Jana Chrzciciela i św. Stanisława. Zbudowane zostały 2 chóry w prezbiterium, ganek i krużganek, którym król przychodził na nabożeństwa. Z chórów tych rozlegały się dźwięki kapeli, pod wodzą Pacellego. Historia wspomina sławnego śpiewaka Tobiaszka, wykonującego Treny Jeremiasza — dzieło polskiego muzyka Wincentego z Szamotuł. Władysław IV przerabia kościół w duchu epoki, dając mu barokową fasadę podzieloną na kondygnacje i ozdobioną figurami. Fasada ta znana jest ze współczesnych rycin.

Z kolei Jan Sobieski stara się o upiększenie świątyni. Darem jego są bogate stalle z herbem królewskim — Janina i z herbem królowej Marysieńki. Nadto w prezbiterium zawieszone zostają chorągwie tureckie, zdobyte pod Wiedniem. W XVII wieku powstaje także Bractwo Literackie i kaplica tegoż zgromadzenia.

Za czasów saskich król August III dobudowuje wyższą część dzwonnicy, dotychczas drewnianą. W latach 1763 — 67 Kapituła buduje piękną zakrystię według projektu znakomitego Jakuba Fontany.

Król Stanisław August, koronowany w tym kościele, upodobał sobie kaplicę Cudownego Pana Jezusa. Widywano go tutaj wieczorami, incognito, przychodzącego na pacierze. Tutaj też, jak mówi mała historia, brał ślub morganatyczny z panią Grabowską. Pamiątką po nim był piękny zegar umieszczony nad drzwiami do zakrystii.

Od czasów rozbiorów Polski prezbiterium katedry pozostaje pod opieką duchowieństwa, — reszta kościoła — prezydenta miasta i Rady miejskiej. W r. 1796 Pius VI nadaje kolegiacie prawa katedralne. W r. 1817 papież Pius VII — tytuł archikatedry. W latach 1816 — 22 następuje odnowienie kościoła, najpierw fasady, potem wnętrza, przy czym zostają wzmocnione filary w swoich fundamentach.

W latach 1836 — 42 arch. Idźkowski odnawiał kościół, bardzo już potrzebujący gruntownego re ontu. Pozostawił on z małymi zmianami prezbiterium i 2 najstarsze kaplice — Najświętszego Sakramentu i Cudownego Pana Jezusa, inaczej zwaną Baryczków. Resztę kościoła przebudował, nadając charakter angielskiego gotyku. Katedra mimo obcości tego stylu w Polsce nie była pozbawiona wiele piękności i z czasem ludność przywiązała się do widoku smukłych wieżyczek uwieńczonych koronami, wznoszących się nad wązką uliczką, a nawet uważała je za bardzo charakterystyczny akcent tej części miasta. Przebudowano wówczas łuk prezbiterium, sklepiając go na nowo, powiększono chór, wzniesiono nową kazalnicę, zniżono o połowę wysoki dach, przesunięto okna ku środkowi, dając im witraże kolorowe, zmieniono filary, znacznie je poszerzając.

Około 1900 roku pokryto fasadę białą cegiełką, zupełnie nieodpowiednią dla architektury gotyckiej.

Katedra taka, jaką ją znali współcześni przed wybuchem wojny, mieściła w sobie mnóstwo pomników, będących nie tylko pamiątką historyczną i wspomnieniem wybitnych zmarłych, ale i artystycznym dokumentem kultury przeszłości. Były to pomniki dygnitarzy, patrycjatu miasta Warszawy, wreszcie cudzoziemców, którzy spędzili część życia w Polsce na jej usługach. Najstarszym był wspomniany już pomnik książąt mazowieckich z XVI wieku, w którym artysta pięknie wywiązał się ze swego zadania, nadając postaciom indywidualny wyraz i typ prawdziwie polski, a jak wyrażają się niektórzy historycy, — nawet mazowiecki. Z tegoż wieku pochodził pomnik braci Wolskich, dostojników państwowych, z których jeden był doradcą Zygmunta Augusta wielce przez króla cenionym. Tablice nagrobkowe Pacellego — kapelmistrza, ławnika Drewno, Wojciecha i Stanisława Baryczków, kanonika Strzelicy, poza wysoką artystyczną wartością dawały obraz typów i strojów owych czasów. Do wspanialszych należały pomniki Andrzeja Boboli, wszechwładnego za Zygmunta II, magnata Kazanowskiego, ojca ulubieńca Władysława IV. Z czasów późniejszych pochodziły nagrobki marsz. Bielińskiego, prez. Dekierta, Bacchiarellego i jego małżonki. Najokazalszym był pseudoklasyczny pomnik marszałka sejmu Małachowskiego wykonany według rysunku Thorwaldsena przez jego ucznia Zaboureura.

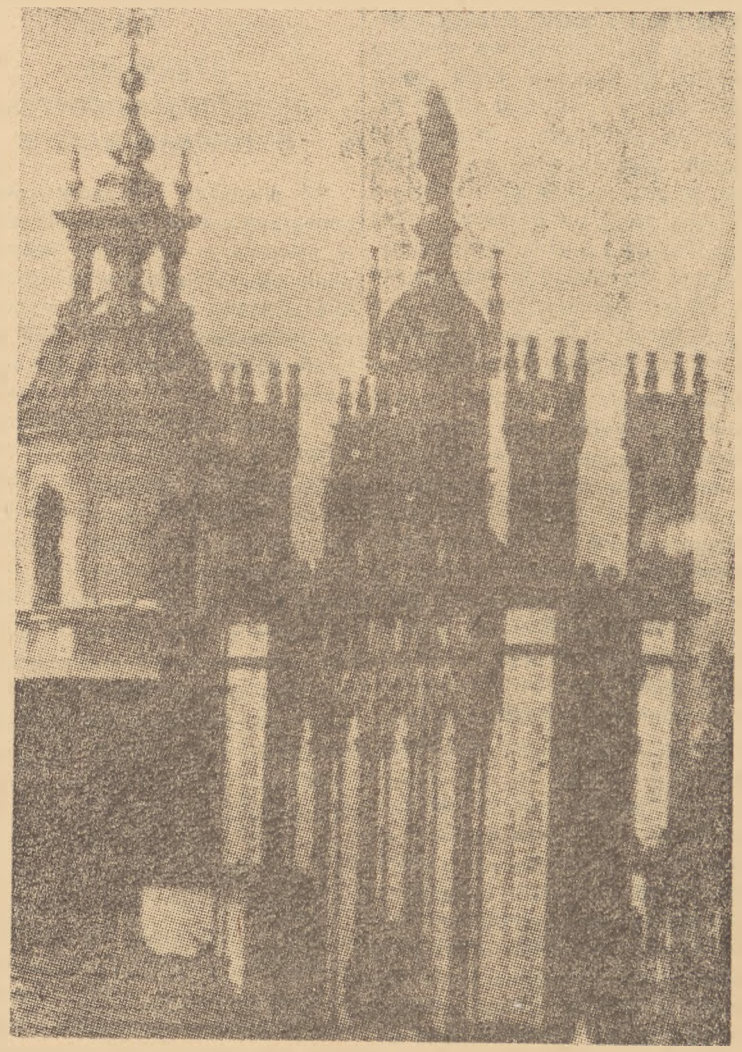

Katedra Św. Jana przed zburzeniem.

Wymienione pomniki stanowiły zaledwie część znajdujących się w katedrze.

Tu odbyły się koronacje 2 królowych — Cecylii Renaty i Eleonory, królów Stanisława Leszczyńskiego i Stanisława Poniatowskiego, wreszcie ostatnio — cara Mikołaja I. Tutaj to w asyście licznego duchowieństwa, wśród pięknych stall wypełnionych kanonikami i prałatami święcono wspaniałe nabożeństwa według bogatego rytuału, tradycyjnego w Kościele Katolicyzm. W podziemiach katedry, poza trumnami dwu książąt mazowieckich spoczęły zwłoki Henryka Sienkiewicza i pierwszego prezydenta Polski — Gabriela Narutowicza.

Wrzesień 1939 roku uszkodził sklepienie świątyni i organy, ale dopiero powstanie 1944 roku zniszczyło ją prawie doszczętnie. Naokoło stanęły barykady i już drugiego dnia walk wybuchł pożar na plebanii. 8 sierpnia atak czołgów niemieckich ruszył na ruiny zamku królewskiego. 17 sierpnia pociski burząco-zapalające padły na prezbiterium i kaplicę Archikonfraterni Literackiej. Zajmują się wiązania drewniane dachu i katedra staje w płomieniach. Figura Chrystusa, po zdjęciu jej z krzyża, zostaje przeniesiona do kościoła św. Jacka na ul. Freta, gdzie znajdzie się także srebrna trumna z prochami św. Andrzeja Boboli Pociski rozbijają ścianę prezbiterium, dzielącą je od nawy. Płonie wielki ołtarz z cennym i pięknym obrazem Palmy, stalle Sobieskiego. marmurowe posągi i rzeźby rozsypują się pod wpływem gorąca w proch. Sklepienie, nadwyrężone poprzednio, zapada się nad główną nawą, grzebiąc w gruzach kazalnicę, pomniki i nagrobki. Przez wiele dni, strasznych dni,

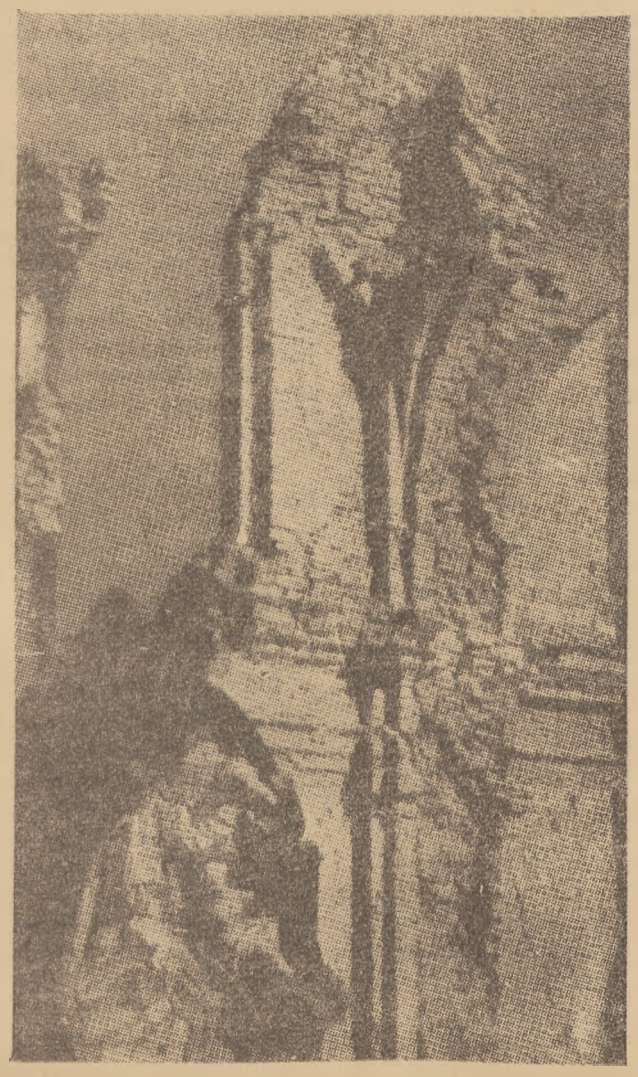

Ruiny Katedry Św. Jana.

trwają zacięte walki między powstańcami a Niemcami we wnętrzu katedry. 21 sierpnia wielki czołg Goliat zaczyna walić w ścianę zewnętrzną kościoła, gruchocząc pomnik Małachowskiego. Księża wraz ze służbą kościelną ratują z zakrystii część największych skarbów. Niewiele z nich doczeka wyzwolenia Warszawy w dobrym stanie. Po wypędzeniu ludności z miasta, w połowie listopada, Niemcy wysadzają katedrę w powietrze.

Mieszkańcy Warszawy ujrzeli po wojnie wielki stos gruzu w miejscu swej najstarszej świątyni. Straszno było się tam przedostać Od roku 1947 wolą Państwa Ludowego i ludności Warszawy rozpoczęła się odbudowa katedry. Po usunięciu zwałów murów i łomu okazało się, że ocalała we względnie dobrym stanie kaplica Barycz ków i część ścian, reszta pozostała w znikomych fragmentach.

Odbudowę prowadzi prof. Zachwatowicz, główny konserwator i specjalny znawca gotyku. Kościół odtwarzany jest w postaci zbliżonej do kościoła św. Doroty we Wrocławiu, gdyż ci sami majstrowie wymieniani są jako twórcy obydwóch tych kościołów. Projektowane jest pozostawienie bez zmian, w formie przedwojennej, prezbiterium 2 wymienionych najstarszych kaplic i zakrystii Fontany. Reszta kościoła ma być odbudowana w formie surowego gotyku z XIV wieku. W projekcie przewidywane jest utworzenie jednego wejścia, zamiast dawnych trzech. Kaplica konfraterni Literackiej została już odtworzona w dawnej formie baroku, w tymże stylu mają być przywracane ołtarze, skasowane przez Idźkowskiego.

Obecnie prezbiterium znajduje się już pod dachem, pokryte czerwoną dachówką. Dzwonnica odbudowana jest w dawnej postaci. Toczą się prace przy wznoszeniu sklepienia nad nawami kościoła, który już na jesieni może będzie pokryty bardzo wysokim spadzistym dachem.

24 czerwca w rocznicę urodzin św. Jana Chrzciciela odbyło się uroczyste poświęcenie wykończonego prezbiterium, które z tym dniem oddane zostało do użytku wiernych.

W. Gładysz

SP. WYD. „PAX", INST. WYD.
WYSYŁA
NOWY TESTAMENT
Wyd. II.
PRZEKŁAD KS. PROF.
DĄBROWSKIEGO
cena 720 zł
G. BERNANOS
POD SŁOŃCEM
SZATANA
cena 950 zł
B. MARSHALL
CHWAŁA CÓRY
KRÓLEWSKIEJ
cena 750 zł
TEKĘ DRZEWORYTÓW
„OJCZE NASZ"
K. WRÓBLEWSKIEJ
cena 1200 zł
G. BERNANOS
PAMIĘTNIK
WIEJSKIEGO
PROBOSZCZA
cena 900 zł
GRAHAM GREENE
SEDNO SPRAWY
cena 950 zł
JAN DOBRACZYŃSKI
NAJWIĘKSZA MIŁOŚĆ
cena 700 zł
po wpłacie na KONTO PKO
I-8515
SP. WYD. „PAX", INST. WYD.
W-WA, MOKOTOWSKA 43.

Jerzy Eugeniusz Płomieński

OFENSYWA BIOPSYCHOLOGII

I.

OFENZYWA BIOPSYCHOLOGICZNYCH METOD BADAWCZYCH

Od dłuższego już czasu, conajmniej bowiem od lat kilkudziesięciu, w związku z olbrzymim rozwojem nauk przyrodniczych oraz granicznych dziedzin badawczych — jesteśmy świadkami ekspansji tych nauk w stosunku do innych gałęzi naukowych, a między innymi w stosunku do problematyki humanistycznej. Trzeba tu przyznać, że ta infiltracja przyrodniczych dyscyplin badawczych okazywała się niekiedy zapładniającą dla świata zagadnień humanistycznych, oświetlała je bowiem tu i ówdzie w sposób nowy, rozszerzając ustalony krąg humanistycznego poznania o nieznane dotychczas aspekty. Wiele np. odkrywczego światła rzucił na psychologię twórczości i osobowości Ibsena oraz Goethego przyrodnik rosyjski E. Miecznikow w swojej książce p. t. „Zarysy optymistyczne", słusznie zresztą obalając niektóre poglądy krytyki estetyczno-filologicznej. Tam jednak, gdzie mamy do czynienia z przerostem naukowych metod przyrodniczych, które usiłują zagadnienia twórczego personalizmu (również psychologię twórczości) podporządkować prawom biologiczno-przyrodniczym, humanista musi zająć stanowisko krytyczne. Metody owe bowiem wdzierając się na obce niwy zagadnieniowe mieszają najwyraźniej probierze wartościowania i pojęcia, fałszując istotę zjawisk twórczych, między innymi istotę procesu twórczego. Z takiego stanowiska odkrywcza w zasadzie książka niemieckiego uczonego, Moebiusa o Goethem domaga się niejednego gruntownego sprostowania. Nie do przyjęcia są natomiast z tego samego punktu widzenia główne tezy dziełka Moebiusa „O fizjologicznej tępocie kobiety". Jeden z twórców nowoczesnej typologii, przed wojną bardzo modnej, która dotąd jeszcze nie straciła swojej popularności, a która z humanistycznego kąta widzenia budzi niejedno zastrzeżenie, E. Kretschmer w dziele swoim „O ludziach genialnych" wyprowadza rodowód procesu twórczego z podłoża popędowego. Jego teoria genialności zawiera walną odsiecz dla Freudowskiego panseksualizmu teoretycznego, ale zagadnienie psychologii twórczości upraszcza przeważnie biologizując je, t. j. kurcząc je do biologicznych wymiarów (jak „Moebius")[2]).

Dziełu Kretschmera „O ludziach genialnych", dziełu niewątpliwie zapładniającemu w pewnej mierze i twórczemu, które jest jednak owocem pewnych uproszczeń badawczej postawy biopsychologicznej, — musi się przeciwstawiać humanista właśnie w imię humanistycznego systemu wartości i humanistycznych dyscyplin badawczych. Wydawałoby się, że powojenny proces historyczny, który przyniósł zasadnicze przeobrażenia społecznej rzeczywistości, a zarazem życie kultury pchnął w nowe łożysko, zmieniając gruntownie jego oblicze, położy kres teoriom podobnego typu. Ale upiory kretschmeryzmu zaczynają straszyć od nowa na naszym gruncie intelektualnym.

---

[1]) Z powodu szkicu prof. dr. M. Bornsztajna „O źródłach twórczości" Odczyt, wygłoszony w Warsz. Towarzystwie Naukowym.

[2]) Dzieło Kretschmera „O ludziach genialnych" omówiłem szczegółowo w obszernej rozprawie p. t. „Tajemnice geniuszu", ogłoszonej w „Nauce i Sztuce" (N-ry 1 i 2 r. 1946).

II.

PROF. M. BORNSZTAJN WZNAWIA KRETSCHMEROWSKIE STANOWISKO BIOPSYCHOLOGICZNE

Oto na łamach „Warszawy" pojawił się obszerny artykuł prof. Maurycego Bornsztajna p. t. „O źródłach twórczości", w którym autor omawia zagadnienia literatury i sztuki z Kretschmerowskiego stanowiska biopsychologicznego.

Dziwne to, że dotąd żaden z polskich intelektualistów nie zwrócił uwagi na ten bardzo znamienny w swoich zaborczych tendencjach biopsychologicznych artykuł, który minął bez echa.

Prof. Bornsztajn szukając „źródeł twórczości" stwierdza wbrew stanowisku materializmu dziejowego, że leżą one nie tyle w społeczno-gospodarczych układach życia, których wagi nie należy zresztą przeoczać, ale przede wszystkim w osobowości twórcy. Powołując się na powagę myśli jednego z Ojców Kościoła, św. Augustyna, której głębia nie zdeaktualizowała się dotąd, powtarza za św. Augustynem, że tylko w człowieku samym manifestuje się i kształtuje „prawda najwyższa", a nie „na rynku", więc nie w aktach kolektywnego życia społecznego.

III.

KRETSCHMEROWSKIE SCHEMATY TYPOLOGICZNE, JAKO WYJŚCIOWE PUNKTY BADAWCZE.

Bornsztajn sięga do typologicznych schematów, ustalonych przez Ern. Kretschmera, by wytłumaczyć źródła psychologiczne powstawania gatunków literackich, oraz ich najściślejszego t. j. najbardziej organicznego związku z duchowym typem „konstytucjonalnym" twórcy. Przypomina więc na wstępie dwa „główne typy duchowe", t. j. „typ zwrócony psychicznie ku życiu, ku otoczeniu, wykazujący wahania normalne w nastrojach (wzwyż i wdół), słowem współdźwięczący z życiem, z warunkami, wśród których żyje". To „cykloidzi", ludzie o grubokościstej „pyknicznej" budowie ciała (pyknicy). Typ 2-gi „od życia odwrócony, zamknięty w sobie, skłonny do fantazjowania, bez względu na to, czy te fantazje są zgodne z wymogami życia, czy też nie". To „schizoidzi", wykazujący „brak scalenia osobowości, dążności do rozszczepiania się, podczas kiedy cykloid jest osobowością pełną, scaloną i z życiem uzgodnioną". Fizycznie odpowiadają temu typowi duchowemu „leptosomicy" czyli „astenicy" („wątła, smukła budowa ciała, wąska twarz, duży nos oraz przeważnie wysoki wzrost").

Prof. Bornsztajn wiąże następnie przyczynowo znany z typologii Kretschmera paralelizm fizycznej oraz duchowej struktury człowieka, w danym wypadku twórczego z kształtem utworów literackich, t. j. z ich formalną jakością oraz z ich zawartością duchową. Rzucony mimochodem przez Kretschmera pogląd, że za pomocą biopsychologicznych narzędzi badawczych można ustalić nawet bliską łączność między skłonnościami umysłowymi a zewnętrznymi kształtami ciała rozwija Bornsztajn obszernie, dając wcale obfity materiał przykładowy z dziejów literatury powszechnej.

IV.

LOGICZNE SPRZECZNOŚCI BIOPSYCHOLOGICZNEJ METODY BADANIA

Nie mogę na tym miejscu (w ramach niniejszego szkicu byłoby to zresztą dosyć trudne) rozprawić się z Kretschmerowską typologią i jej szkołą z humanistycznego punktu widzenia. Chcę wykazać na razie pewne logiczne sprzeczności błyskotliwej niewątpliwie, tu i ówdzie odkrywczej nawet biopsychologicznej metody badania, która prowadzi nieraz (na polu humanistycznych zagadnień przede wszystkim) do rażących uproszczeń i nierzadkiego zatargu z istotą faktów i zjawisk humanistycznych, ustaloną w danym wypadku przez wiedzę o literaturze.

Prof. Bornsztajn przeprowadził obronę twórczego personalizmu, zagrożonego według niego przez współczesną ekspansję materializmu dziejowego i jego teoretyków — chwiejnie i niezbyt konsekwentnie. Słabą stroną tej obrony jest jej zawieszenie w próżni pozaspołecznej, więc akcentowanie niemal bezwzględne między innymi, w istocie procesu twórczego — jego autonomizmu, oderwanego od społeczno-narodowych podstaw. Powołując się na autorytet wielkiego Ojca Kościoła, św. Augustyna, zapomniał Bornsztajn o wybitnie woluntarystycznej postawie tego teoretyka katolicyzmu. Taką jest zresztą postawa światopoglądu katolickiego w ogóle. I to ją różni mocno, mimo niewątpliwych punktów stycznych, mimo nawet powinowactw od krańcowo kontemplacyjnej postawy chrześcijaństwa wschodniego. Cytując św. Augustyna przeoczył właściwie prof. M. Bornsztajn podstawowy sens jego filoozfii t. j. jej katolicki woluntaryzm, zastąpił go natomiast pewnego rodzaju antiwoluntaryzmem, który można by nazwać teoria „demiurgizmu" wewnetrznego. Jest to stanowisko dosyć charakterystyczne u biopsychologów w ogóle, które u prof. Bornsztajna dochodzi do krańcowości, niezrozumiałej dla humanisty. Marburski teoretyk fenomenow genialności a zarazem czołowy typolog, Ernest Kretschmer bywał w swoich poglądach na psychologię twórczości, co prawda nieraz również pokłóconych z oficjalną wiedzą o sztuce i literaturze, mimo to ostrożniejszy. Nowoczesną biopsychologię w ogóle, wbrew jej założeniom naukowym, tj. wbrew jej ścisłym dyscyplinom badawczym, którymi się chlubi, cechuje — ile razy się zbliża do zagadnień twórczości, pewna mistyka doktrynalna, odbiegająca od doświadczalnego charakteru nauk przyrodniczych. Tu właśnie tkwią owe logiczne sprzeczności, o których wzmiankowałem wyżej, między doświadczalnym „prawem" badawczym, wywodzącym również źródła aktów twórczych z podłoża biologicznego (Kretschmer), stwierdzającym u twórców najściślejszy związek między budowa ciała oraz ich duchowym typem „konstytucjonalnym" a ostatecznymi konsekwencjami tego prawa.

V.

MISTYKA DOKTRYNALNA

U Bornsztajna wyraża się owa wyżej zaznaczona mistyka doktrynalna w daleko wyższym stopniu, niż u Kretschmera — w osobliwej wierze nie tylko w autonomizm aktu twórczego (rozumie się aspołeczny i ahistoryczny), ale zarazem w pewien „demiurgizm" wewnętrzny twórcy w związku z jego psychofizyczną budową. Posłuchajmy, co mówi np. Bornsztajn o Wyspiańskim.

„Nie mógł być inny, nie mógł pisać co innego, niż pisał, albowiem tak mu władczo nakazywała jego konstytucja schizoidalna" („Dotwierdzenie jego schizoidalności znajdujemy w jego wyglądzie, w kośćcu twarzy"). Owa „Konstytucja schizoidalna" staje się zatem czynnikiem nadrzędnym, naturalnie antiwoluntarystycznym, który według prof. Bornsztajna determinuje taki, a nie inny charakter twórczości.

Prof. Bornsztajn próbuje więc, jak to widzimy, — niesprawdzalną naukowo tajemnicę rodowodu aktu twórczego, a szczególnie rodowodu stylów twórczości sprowadzić do pozornie sprawdzalnego źródła t. j. absolutnej zależności owych stylów od charakteru „konstytucjonalnego" twórcy. I tutaj rozchodzą się jego drogi przynajmniej częściowo, z Kretschmerem, który duchowego pluralizmu twórczych osobistości nie silił się sprowadzać do zawodnego ze stanowiska prawdy psychologicznej mianownika jakościowej jedności.

VI.

MANOWCE BIOPSYCHOLOGICZNEJ TEORII POZNANIA LITERACKIEGO

Głód naukowej syntezy, w której błyskotliwych formułach pragnie zamknąć wielość wewnętrzną zjawisk i faktów życia kultury — nowoczesna biopsychologia, sprawiał częściej, że jej skądinąd ciekawe hipotezy, zestawiane porównawczo z bezspornymi faktami okazują się nierzadko zawodne. Owe bowiem formuły klasyfikatorskie, czy poznawcze klucze syntetyczne gwałcą najczęściej wieloczłonową, immanentną prawdę twórczej osobowości i jej duchowych wytworów (t. j. twórczości). Kosztem takiej nadbudowy teoretycznej, w której lubuje się nowoczesna biopsychologia dokonywa się nieraz szkodliwa amputacja faktów bezwzględnie autonomicznych, zresztą wybitnie zróżnicowanych w swoim pluralizmie.

Prof. Bornsztajn usiłując wytłumaczyć według klucza typologicznego, a zarazem według dyscyplin biopsychologicznych genealogię rodzajów literackich oraz zaszeregować twórców do dwóch, względnie 3 typów ustrojów duchowo-fizycznych, osiąga rezultaty dosyć paradoksalne, dla przedstawiciela zaś nowoczesnej wiedzy o literaturze b. kłopotliwe.

Znajdujemy się tu przede wszystkim na gruncie dowolności, które rażą jednostronnym traktowaniem zagadnień humanistycznych i mijają się z ich wewnętrzną logiką. Oto dowody i przykłady.

W grupie twórców o typie „konstytucjonalnym", — „pykniczno-cyklotymicznym" umieszcza Bornsztajn obok Balzaka, Vikt. Hugo, Musseta, również Byrona, Goethego i Gogola. Trudno o bardziej krzyczące pomieszanie światów twórczych. Biopsycholog nie zauważając jednak odległości duchowych owych światów twórczych, ani też przeciwległych biegunów, jakie reprezentują organizacje duchowe wymienionych wyżej twórców, stawia między nimi znak równania, unifiuje ich w skali typów twórczych. Jest to podstawowe nieporozumienie nie do przyjęcia ze stanowiska nowoczesnej wiedzy o literaturze.

Wolna Trybuna

A WIEDZA O LITERATURZE

Bornsztajn przeciwstawia się w danym wypadku równocześnie wynikom badań Ern. Kretschmera nad Goethem i przechodzi nad nimi do porządku dziennego. Już Kretschmer stwierdził w swojej książce o „Ludziach genialnych", że wyolbrzymiona przez biografów i monografistów Goethego rzekomo klasyczna harmonia jego osobowości, jej „olimpijskość" absolutna należy do literackich legend. Niemiecki biopsycholog odkrywa w autorze „Fausta" ogromny procent psychozy, która współistnieje w duchowej organizacji poety, — obok jej apollińskich cech, — przy czym ów ładunek Goethowskiej psychozy określa, jako nieodzowny współczynnik genialności. Badacz biopsycholog przywraca więc słusznie w danym razie zagadnieniu humanistycznemu przez historyków literatury nierzadko zniekształconemu dla ubocznych zamiarów, jego pluralistyczny charakter i prawdę wewnętrzną.

U prof. Bornsztajna można zauważyć natomiast pęd innego rodzaju, mianowicie do duchowego scalania osobowości twórczych w imię owych wzmiankowanych wyżej schematów typologicznych, w których niepodobna jednak zmieścić danych twórców. Czy zaszeregowanie n. p. Goethego przez Bornsztajna do typologicznej grupy pykniko-cykloidów wyjaśnia dostatecznie rytm i styl jego twórczości (Goethego). Raczej zaciemnia linię jej pochodu, posuwającego się fazami rozwojowymi od dramatycznej dysharmonii (Werther) do klasycznej harmonii, której szczytowym wyrazem jest „Faust" (w fazie końcowej).

W ramach tej samej osobowości, którą nasz biopsycholog traktuje jako jednolitą, statyczną formację duchową — odbywa się ogromny pochód rozwojowy, pełen przeciwieństw — od tragicznego „Cierpienia młodego Werthera", który jest zresztą sobowtórem Goethego z jego młodzieńczego okresu życia, do wyżyn afirmatycznej, więc pojednanej z życiem mądrości „Fausta", zamykającego w sobie w kryptonimowej postaci autobiograficzną historię poety w sensie jego dziejów duchowych. Typologiczna zatem formuła prof. Bornsztajna, określająca osobowość Goethego, jako przedstawiciela duchowego typu — „cykloida" (cyklotymika) upraszcza mocno jej prawdę.

Niemniej przeczy diagnozie Bornsztajna twórczość i osobowość Byrona. Twórczość tego romantyka, która zapłodniła prawie całą romantyczną literaturę europejską i stworzyła europejską szkołę literackiego byronizmu, była przede wszystkim protestem przeciw ówczesnym — konwencjom społecznym życia. Byron, skłócony ze swoim społeczeństwem, do którego twórczej i rodowej elity należał, skłócony równocześnie ze swoim czasem, nie torował bynajmniej ścieżek przyszłości, jej nowym i twórczym procesom, przeciwnie wyrażał w sugestywnej, olśniewającej wtedy formie społeczny indyferentyzm i moralny nihilizm. Trudno to nazwać „współbrzmieniem ze swoim środowiskiem", „z warunkami, wśród których żył". Cykloidem nie był z pewnością wbrew temu, co o nim mówi prof. Bornsztajn.

Nie był również piewcą afirmacji życia rosyjski satyryk, Gogol, autor „Martwych dusz", w których piętnował z jasnowidzącą przenikliwością — ludzką kanalję, kryjącą swoje prawdziwe oblicze za parawanem wzniosłych pozorów. Ale Gogol, rosyjski prekursor naturalizmu — stał się później łupem mistycznego samoopętania. Jest to jeszcze jeden dowód, obok wielu innych, potwierdzający pluralistyczny charakter osobowości twórczej, której wtłaczanie w ramy jednorodnej formuły typologicznej zawodzi całkowicie.

Kruchość badawczej metody biopsychologicznej w stosunku do lwiej części zagadnień humanistycznych w świetle podanych wyżej faktów, jest chyba bezsporna. Nie są bynajmniej owe fakty — odosobnione, wyjątkowe. Z materiału przykładowego, podanego przez prof. Bornsztajna, możnaby podać sporo takich klasycznych okazów i dowodów takich nieporozumień.

Prof. Bornsztajn wierzy również głęboko w nieomylność odkrywczych narzędzi metody biopsychologicznej i jej niezwykle możliwości.

W świetle jego sądów możemy ocenić, jak bardzo pomniejsza biopsychologia istotną rolę twórczego personalizmu, jak bardzo odwraca wbrew faktom pozycje i wartości pierwszoplanowe i wtórne — podmiotu twórczego i jego pochodnych wytworów. Biopsychologiczna metoda badania odrzuca badawcze sprawdziany historyczno-socjologiczne, które zdały na ogół dobrze egzamin, jako narzędzia metodologiczne i które szczególnie na tle współczesnych przeobrażeń społeczno-dziejowych mają pełne szanse nowej aktualizacji, zastępując owe sprawdziany zasadą „konstytucjonalnego" demiurgizmu, czynnika pozaspołecznego i pozadziejowego. Prof. Bornsztajn, jak i szkoła badaczy — biopsychologów nie doceniają faktu wielokrotnie potwierdzonego doświadczalnie, że twórczy podmiot osobowy nie jest bynajmniej organizmem duchowym samym w sobie, rządzącym się prawami absolutnie autonomicznymi; jest natomiast emanacją podmiotu socjalnego i dziejowego. Na tej drodze jedynie da się wyjaśnić zasadniczo rodowód osobowości twórczej, jej styl, a pośrednio również charakter utworów.

Prof. Bornsztajn nie dostrzega duchowego pluralizmu w życiu wewnętrznym tej samej osobowości twórczej, jej wielopłaszczyznowej struktury o rysach wybitnie przeciwstawnych, co zaznaczyłem już wyżej. Tam, gdzie zawodzą dwa główne schematy typologiczne, w których powiedzmy, nie mieści się organizacja duchowa danego twórcy, sięga do Kretschmerowskiej rezerwy typologicznej t. j. do mieszanego typu duchowego.

Próba wytłumaczenia przy pomocy badawczych dyscyplin biopsychologicznych genezy zjawisk literackich czy rodzajów literackich oraz twórczych typów osobowościowych wypadła w szkicu prof. Bornsztajna nieprzekonywująco. Raczej zamazała ich prawdziwy rodowód, zniekształcając jednocześnie ich autonomiczną jakość, przestawiając ich funkcje, oraz przydzielając je niezgodnie z ich prawdziwym obliczem (mowa tu o osobowościach twórczych) — do schematów typologicznych, do których nie przynależą.

To, co proponuje biopsychologia w zakresie badań literackich — a są to propozycje, niestety nierealne — mogłoby się wydawać całkowicie rewolucją na niwie wiedzy o psychologii twórczości, a nawet poetyki (między innymi rzekomo nowe oświetlenie genealogii rodzajów literackich) równałoby się bowiem odkryciu nieznanych w dotychczasowej nauce o literaturze typów osobowości twórczych, dalej nowych pokładów psychologicznych — twórczości, rozszerzałoby przy tym najwydatniej granice badania literackiego.

VII.

POZORNA REWOLUCYJNOŚĆ METODY BIOPSYCHOLOGICZNEJ

Wiemy o tym z dziejów życia kultury, że istnieją jej rewolucje twórcze, które przynoszą nowe wartości, przetapiając je zarazem z pozycji teoretycznych na żywe, promieniujące fakty kulturalne oraz rewolucje pozorne, nieraz bardzo błyskotliwe, łudzące pozorami płodnego nowatorstwa, (ale tylko pozorami), które okazywały się realnie bezpłodne.

Metoda biopsychologiczna należy właśnie do takich rewolucji pozornych. Nauce o literaturze, której metodologię badawczą pragnęłaby przeobrazić całkowicie, nie zapowiada bynajmniej w istocie nowych dróg. Przeciwnie, wnosi ona do niedoskonałej zapewne, ulegającej też co pewien czas przewrotom metodologii badań literackich — równolegle z ogólnym postępem nauk — chaos niepożądany.

VIII

CHARAKTER PROFETYCZNY WYWODÓW PROF. BORNSZTAJNA

Systematyczna zaborczość metody biopsychologicznej posuwa się nieraz, mimo jej ograniczonych możliwości do dziwacznych wniosków, czy fantastycznych hipotez, za którymi kończy się naukowe badanie, a zaczyna po prostu dziedzina wieszczenia. Prof. Bornsztajn wspomina w „Źródłach twórczości", że w jednej ze swoich prac poprzednich, dając syntetyczny przekrój wieku XIX, nie zawahał się wystąpić z prognozą o rozwoju (raczej jego kierunku) sztuki i literatury całego wieku XX, czyli sztuki i literatury przyszłości.

„Tyle powiedzieć możemy z naszego biopsychologicznego stanowiska— słowa Bornsztajna — o formach, o kształtach utworów poetyckich, o ich zależności przede wszystkim od konstytucji twórców. W jednej z ostatnich swoich prac broniłem tezy, że wiek XX w porównaniu z XIX — wykazuje wyraźne wzrastanie w liczbę i siłę typu schizoidalnego w porównaniu z cykloidnym typem, który przeważał w wieku XIX; już tam wspominam nawiasowo, że odbiła się ta przemiana na twórczości literackiej. A jeżeli tak, to kształt tej twórczości nie będzie w żadnym razie rósł i rozwijał się w kierunku realizmu, tak charakterystycznego dla wieku XIX, a raczej będzie szedł w kierunku przeciwnym".

Oto „rozpoznanie" o cechach typowo proroczych. Nie wiele ma ono chyba wspólnego z naukową dyscypliną badania. Sprawdzalność tej prognozy, opierającej się na przesłankach bardzo dowolnych, przekracza bowiem w danej chwili granice naukowego empiryzmu. Dopiero a posteriori, gdy skończy się wiek XX można będzie ustalić, ile w tezie Bornsztajna było przewidującej słuszności, względnie, ile błędnej improwizacji.

Mamy tu znowu do czynienia z mistyką doktrynalną, która w swoim dynamizmie, tracąc pod nogami twardy grunt faktograficznych dociekań, zasugestionowana rzekomą nieomylnością swoich poznawczych probierzy, puszcza się na spekulatywne klasyfikacje faktów jeszcze nieznanych, zjawisk dnia jutrzejszego.

IX.

RZEKOMY ZWIĄZEK MIĘDZY RODZAJEM LITERACKIM A „TYPEM KONSTYTUCJONALNYM TWÓRCY"

Dziwnie wygląda w szkicu prof. M. Bornsztajna sąd, — autor wypowiada go tonem dosyć dogmatycznym — stwierdzający ścisłą łączność między typem konstytucjonalnym twórcy a rodzajem literackim, jaki twórca ów reprezentuje. Ten pogląd wyjątkowo ekscentryczny ze stanowiska humanistycznego, bynajmniej nie udosobniony u biopsychologów zasługuje, by go zacytować in extenso dla dokładnego zrozumienia, na jakie manowce prowadzi nieraz biopsychologiczna metoda badania i wartościowania, gdy usiłuje zgodnie ze swoimi założeniami wyjaśniać fakty z terenów humanistycznych.

„Jeżeli weźmiemy teraz stronę drugą, — pisze prof. Bornsztajn — to stwierdzić zdołamy taką samą korelację między schizoidalnością i leptosomiczną lub asteniczną budową ciała u twórców „obozu przeciwnego". Albowiem kiedy u pierwszych widzieliśmy tendencję do realizmu, do humoru (Sienkiewicz, Prus, Gogol, Gottfried Keller) oraz kształt przeważnie powieściowy — epos, to u tych występują tendencje odmienne: do poezji lirycznej i do dramatu. Dlaczego? Objaśniamy to sobie właśnie w myśl wypowiedzianych poglądów, że schizoid skłonny jest nie do afirmatywnego, ale wręcz przeciwnie do negatywnego ustosunkowania do rzeczywistości. A po to, żeby dać najlepszy wyraz literacki takiemu nieprzyjaznemu, negatywnemu stosunkowi do życia, mniej przydatna będzie forma powieściowa, a raczej liryka i dramat.

X.

ROZWAŻANIA TEORETYCZNO-LITERACKIE

Powyższy wywód prof. Bornsztajna zmusza do wyjścia poza właściwy przedmiot dyskusji, by unaocznić na materiale zagadnień granicznych bezprzedmiotowość tego wywodu. Należy sobie przede wszystkim uświadomić, że poetyka, jako zespół pewnych prawideł i definicji nie stanowi bynajmniej kodeksu wieczystego — dogmatycznych praw. Definicje i klasyfikacje cechuje zupełnie zrozumiała śmiertelność. Fakty i zjawiska literackie przeżywają swoje stadia rozwojowe. Ulegają przemianom. Zresztą nie ulega wątpliwości, że rzeczywistość literacka (odbywa się to w regionach twórczości najwyższego rzędu) wyprzedzała przeważnie teoriotwórczy pęd do poznawczego systematyzowania literackich zjawisk. W literaturze i sztuce daje się to wielokrotnie zaobserwować. Wielka twórczość literacka rozbijała zawsze rewolucyjnie — skostniałe schematy kompozycyjne, słownikowe, charakterologiczne, światopoglądowe itd., narzucając w następstwie tego konieczność dobudowania odpowiedników teoriotwórczych. Od Arystotelesa do B. Crocego — poprzez szereg systemów teoretyczno-literackich — nietrudno zaobserwować bijący w oczy fakt stosunku nadrzędności i wtórności życia sztuki i literatury (mowa tu o szczytowych jego okazach) oraz literacko-estetycznych systemów teoretycznych.

W świetle tych uwag łatwo zrozumieć, że nie może być dzisiaj mowy o jednorodności gatunku literackiego, o jego czystości bezwzględnej w takim znaczeniu, w jakim było to możliwe w dawnej poetyce normatywnej. Pochód ku nowoczesności zacierał coraz bardziej — rygorystycznie dawniej przestrzegane — linie demarkacyjne między gatunkami literackimi. Proces ów zaczyna się właściwie jeszcze w dobie renesansu. Ale dopiero dramat Szekspira dostarcza klasycznego dowodu na zjawisko krzyżowania się gatunków literackich oraz ich elementów. W dramatach więc Szekspira krzyżują się elementy krańcowo przeciwstawne, jak humor, tragizm, groteska, realizm i fantastyka, które geniusz wielkiego dramatopisarza umiał scalać wbrew ówczesnej poetyce, tworząc nowe kategorie piękna.

Pluralizacja osobniczego życia duchowego prowokowała w następstwie uniwersalizację rodzaju literackiego, który zatracał coraz bardziej swoją ekskluzywną postać. Dokonywało się stopniowo przesączanie elementów jakościowych poszczególnych gatunków literackich, wzajemne zapładnianie i wymiana treści, czy motywów, a tym samym rozszerzanie dotychczasowych pozornie ustalonych granic gatunków literackich. Szekspir był jednym z najbardziej rewolucyjnych nowatorów w tej dziedzinie.

Osiemnastowieczne powieści okresu oświeceniowego, jak „Nowa Heloiza" (J. J. Rousseau) oraz „Niebezpieczne związki" (Chaderlos de Laclos) noszą na sobie wyraźne piętno tego procesu, który oznacza równocześnie przełom ówczesnej powieści europejskiej. Z powieściami tymi łączą się zarazem narodziny nowoczesnego psychologizmu powieściowego. W powieści ówczesnej daje się równocześnie zaobserwować zerwanie z czystością epickiego nurtu, który nasiąka uczuciowo-lirycznymi nalotami oraz elementami dramatu.

W „Cierpieniach młodego Werthera" Goethego pogłębia się ów proces różnicowania się powieści, jako gatunku epickiego, chociaż zdradza ona niewątpliwie ślady obciążenia (Werther) dziedzictwem powieści epoki poprzedniej, przy czym psychologizm dochodzi w tej powieści do stanu wyrafinowania, do której daleko było „Nowej Heloizie".

XI.

BIOPSYCHOLOGICZNY RODOWÓD LITERACKICH RODZAJÓW W ŚWIETLE FAKTÓW HIST.-LITERACKICH

Prof. M. Bornsztajn zaleca historykom literatury pogłębienie swoich fachowych dyscyplin badawczych za pomocą doniosłej, według niego, i szczególnie zapładniającej biopsychologicznej metody badania.

Dla badacza literatury oraz psychologa twórczości zależenie owo nie może być jednoznaczne z rozwianiem szeregu nieporozumień, jaki nastręcza owa metoda, rzekomo jedynie i wyłącznie prowadząca do odkrycia, czy też naukowego ustalenia prawdy. Cóż bowiem począć z faktem nierzadkim w dziejach literatury, gdy ten sam twórca reprezentuje powieść, dramat i lirykę, więc trzy naczelne rodzaje literackie, z których każdy według założeń biopsychologicznych wyraża inne dyspozycje duchowe twórcy i łączy się najorganiczniej z innymi typami konstytucjonalnymi twórców? Biopsycholog przeocza w danym wypadku zaznaczony już kilkakrotnie w szkicu niniejszym pluralizm duchowy osobowości twórczej, fakt

(Dokończenie na str. 12)

Zbigniew Kubikowski

SPRAWA JAŚKA BROWARCZUKA 4)

Było parno. Lekki wiatr zaszeleścił liśćmi winogron, obrastających całą ścianą poklasztornego budynku.

Kiedy Jerzy wyszedł na ulicę, było aż szaro od kurzu. Białe chmury ciemniały gwałtownie, a od zachodu ciągnęły zwarte, sklepione nisko, rozświetlane liniami błyskawic. Wiatr skręcał z kurzu wysokie słupy i rzucał je w oczy przechodniom.

Jerzy szedł szybko, prawie biegł. Na zakręcie zobaczył, że przed nim idzie ktoś znajomy.

— Jasiek! — zawołał.

Przywitali się prędko. Mrużąc oczy i odwracając się tyłem do wiatru, Jerzy nie spostrzegł, że Jasiek przybladł i patrzył uporczywie w bok.

— Doskonale, że cię spotykam — przekrzykiwał wiatr — słuchaj, u was dzisiaj siedzi Edek Dembiński. Powiedz mu, żeby przed czwartą był u mnie, bo o piątej musi jechać do Kołomyi. Ważne — dodał.

Koło nich przebiegło dwóch chłopców, podskakiwały im śmiesznie na plecach tornistry. Jasiek nic nie odpowiedział. Znowu ktoś szedł. Przeleciało jakieś auto.

— Dobra, powiem — głos Jaśka był zduszony i ochrypły, ale wiatr go przygłuszał — służbowo jedzie, co?

Jerzy nie odpowiedział, jakby nie dosłyszał.

— Trzymaj się — krzyknął — już dawno nie bawiliśmy się, musimy sobie urządzić popijochę? Nie zapomnij powiedzieć!

Jasiek mruknął coś w odpowiedzi. Zajęczał klakson samochodu, dwie baby, objuczone płaskimi sakwami chciały przebiec przez ulice trzymając się za ręce, cofnęły się przestraszone, przepuściły auto i dopiero pobiegły, oglądając się na wszystkie strony.

Pożegnali się i rozeszli szybko. Jerzy biegł brzegiem chodnika, z pochyloną głową, jak przed chwilą dwaj chłopcy ze szkoły. Przeganiał ich właśnie. Byli z cukrowni.

— Będzie lało, co? — zawołał do nich.

Zakrzyczeli coś, wymachując rękami i zostali w tyle. Z góry, z ostrym turkotem zjeżdżała jakaś zapóźniona fura. Podskakiwała na wybojach, prószyło za nią sianо, wiatr rzucał je na chodnik.

Zasypanymi kurzem oczami spojrzał Jerzy na przewalające się nad dachami domów za zakrętem chmury.

(„O czwartej powinno być ładnie. Widzisz, staruszku, nie udało się!").

Zaczęły padać pierwsze, ciężkie krople deszczu. Błysnęło.

— Raz, dwa, trzy... — liczył, biegnąc.

Piorun huknął gdzieś blisko.

(Rzeczywiście dawno bawili się razem. Gdzieś z miesiąc).

Pojedyńcze krople gęstniały w deszczu.

———o———

Trawa spodem była jeszcze mokrą od deszczu. Na samym szczycie skałek stało kilku ludzi, rozmawiali głośno. W dole, przy wejściu do grot, słychać było jakieś podniecone głosy, trzej chłopcy w kąpielówkach wyciągali nad brzeg niżej leżącego stawu białe kości, rozbijali je kamieniami, kłócili się.

Dorota siedziała na pokruszonym, płaskim głazie, Jerzy obok, na trawie. Z dołu podpełzał upał, na zachodzie nikły jeszcze ciemnym pasmem deszczowe chmury, poza tym niebo było czyste.

— Nie dało się tak zrobić żeby Edek mógł pójść razem z nami?

— Dziwię się, że to tak ciebie interesuje... — mruknął, patrząc w ziemię. Rzuciła na stok pagorka kilka połamanych patyków, które gięła w rękach.

— Możesz się dziwić... — odpowiedziała.

Chłopcy z dołu zeszli na sam brzeg stawu, jeden skoczył, wypłynął parę metrów dalej, krzyknął, że posłyszeli go wyraźnie.

— Bycza woda, ciepła, jak cholera, no!

Ktoś się roześmiał na górze.

— Chodźmy stąd...

— Jak chcesz...

(Wycieczka nie udała się).

Chłopiec, który pierwszy wszedł do wody wypłynął już na środek stawu, inni powskakiwali za nim.

———o———

Kiedy przyszła wiadomość o Edku, Jerzy wyciągnięty na szeroko rozstawionym leżaku wpatrywał się w zwisającą nad nim gęstwinę gałęzi, nisko rozrosłej jabłoni. Suwał leniwie wzrokiem po okrągłych, sercowatych liściach i wypatrywał pyzate jabłka.

Na samej górze majaczył skrawek błękitu, przecinany co chwila smukłymi kreskami kilku wyschłych gałązek.

Chłopak, który opowiadał, siedział obok na niskim stołeczku i nerwowo przebierał palcami po poręczy leżaka. Przestraszone, niebieskie oczy utkwił gdzieś w krzakach morwy, nie patrzył na Jerzego, zdawało się, że chce skończyć jak najprędzej i uciec.

Poza płotem, gdzieś na środku osady chlupała woda i szczękała pompa. Jakiś krzykliwy głos kobiecy zaczął coś głośno opowiadać daleko trzepano dywany, chwilami zapadała niepokojąca cisza i wtedy było słychać tylko senne, znużone upałem poćwierkiwania wróbli.

— Głupia historia — Jerzy strząsnął popiół z papierosa — to wszystko, co miałeś mi powiedzieć?

Chłopak zerwał się ze stołeczka z widoczną ulgą.

— Tak. Pan Nierada prosił, żeby pan przyszedł zaraz do niego. Mogę już iść?

Cały kipiał tą chęcią odejścia.

— Chwileczkę — zatrzymał go Jerzy.

Wyciągnął się leniwie i wstał. Chłopak niecierpliwie wykrzywił wargi, ale się nie ruszył. Jerzy stanął przed nim i nagle położył mu rękę na ramieniu.

— Przejąłeś się bardzo, prawda? — spytał prosto — ale powiedz.

Odstąpił nagle od niego i oparł się o sękaty, powykręcany pień jabłoni. Począł wodzić dłonią po chropowatej korze.

— Edek był moim przyjacielem od dziecka. Teraz go nie ma. Jutro może będzie po mnie...

Przerwał i spojrzał na chłopca. Zdawał się wcale nie słuchać. Poruszył bladymi wargami i kręcił niespokojnie w palcach róg koszuli, wystającej mu z niedopiętych, brezentowych spodni.

Jerzy uczuł nagle wstręt do niego, do jego rybich, przerażonych oczu, chudej, bladej twarzy. Ogarnęło go nagle zniechęcenie do tłumaczenia czegokolwiek komukolwiek, w ogóle do mówienia. Szukał gorączkowo w myśli jakichś słów, racji, wydobywał je i od razu zdawały się jałowe i niepotrzebne.

Odwrócił się nagle.

— Możesz iść — rzucił przez ramię.

Oparty, z przegiętą głową słuchał szelestu oddalających się kroków. Oderwał się od pnia dopiero, kiedy trzasnęła furtka.

Na futrynie otwartego okna kuchni wyciągnął się czarny kot.

Jerzy zacisnął silniej ręce na szorstkiej korze, poczuł żywsze pulsowanie krwi. Starał się uspokoić, myśleć rzeczowo i rozsądnie.

Zupełne opanowanie wobec małego łącznika kosztowało go dużo.

Czuł, jak w skroniach i nad oczami świdruje płaski, lepki ból. Małą, żwirowaną ścieżką, okrążając klomb, poszedł ku domowi.

— Edek wyjechał wczoraj wieczorem. Postanowiliśmy to wczoraj rano. Wiedział Nierada, Romański, Czyniec i ja. Kto jeszcze? — powtarzał sobie półgłosem natarczywe myśli.

— Nierada, Romański, Czyniec i ja — powtórzył jeszcze raz szeptem z naciskiem. Zaczął wchodzić na betonowe schody.

— Raz, dwa, trzy — liczył je bezmyślnie.

W kącie leżała sterta świeżo narąbanych szczap. Drzwi do sieni i kuchni były szeroko otwarte. Pachniały kwiaty stojące w kolorowym dzbanku na środku obitego

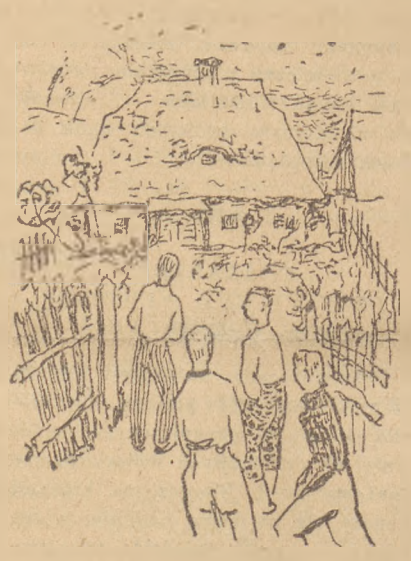

czystą, wymytą ceratą stołu. Wyszorowana podłoga zaciekała w kilku miejscach brunatnymi smugami.

Kapała woda z kranu, cykał budzik, brzęczały muchy. Przez otwarte okna sączył się bezwład upału. Helena spała na wąskiej kanapce w kącie, przykryta razem z głową brunatną narzutą, spod której wyglądało tylko kilka kosmyków potarganych włosów. Muchy łaziły po niej i po suszącym się na stolnicy naczyniu.

W pokojach było chłodniej, przez opuszczone story przeświecało miejscami słońce, wykreślając na lśniących, wypastowanych podłogach jasne, podłużne paski.

Opadł na fotel i podparł brodę rękami. Patrzył, nie widząc, na duży obraz, wiszący nad kredensem. Przedstawiał jesień, las o silnych, złotawych barwach.

Nagle Jerzy drgnął. Zaczął szeptać, nie mógł być cicho.

— Kto jeszcze? Jeszcze Jasiek cholera jasna...

Wyszedł do kuchni, zdjął z komina zapałki i zapalił papierosa.

Zegar w stołowym wybił godzinę piątą. Helena zaczęła chrapać rechotliwie.

Kiedy Jerzy stanął na ganku, między bzami szczęknęła furtka. Zbiegł szybko po schodach.

— Jesteś?

Dorota szła szybko, spuściwszy głowę. Zacisnęła mu palce na ramieniu. Oddychała nierówno, zarumieniona biegiem.

— Czy... czy to z Edkiem to prawda? — jąkała.

Odstąpił o krok.

— Prawda, właśnie idę do miasta. Odprowadzisz mnie do bramy?

— Pójdę.

Zacisnęła usta i podniosła na Jerzego oczy.

— Coś niedobrze jest, prawda Jerzy?

Potrząsnął głową. Poszli ku furtce.

— Niedobrze — powiedział.

Mały, szary ptaszek zakwilił radośnie, bujając się na niedużej gałązce bzu.

———o———

— Więc jednak prawda.

Jerzy wstał od stołu i spojrzał w przekrwione oczy Nierady.

Podszedł do okna. Dom Nierady oddzielony był od ulicy długim, gęstym ogrodem. Na placyku przed drewnianą werandą leżał duży pies, dyszał, wysunąwszy język. Nad omszałą, kamienną kadzią z resztkami deszczówki na dnie, kręciły się chmury drobniutkich, niemal przeźroczystych muszek.

Czyniec i Romański siedzieli na pluszowej, wytartej kanapie, rozmawiali cicho. Nierada szeptał z Kaliną, przecierał okulary.

Kalina był wysoki, tęgi, o kwitnącej zdrowiem twarzy.

Sprawa była głupio, przerażająco jasna. (Edka przychwycili wieczorem, już na dworcu w Kołomyi. Z miejsca odstawili go na Gestapo. O dwunastej, po pierwszym badaniu podał gryps przez zorganizowaną obsługę więzienia. Kiedy przed rokiem rozprawiał o potrzebie jej urządzenia i w ich mieście, nie wiedział, jak to mu będzie potrzebne. O pierwszej wzięto go znowu, o siódmej rano, nieprzytomnego, odstawiono go na okopisko kołomyjskie. Tam go zastrzelono. Nie wsypał nikogo. Teraz chodziło tylko o ten gryps. Edek pisał o Jaśku..., Jerzy podał Nieradzie swoje spostrzeżenia. Potem mówił Romański. Chytry, przewidujący, kazał śledzić Jaśka od niedzieli. To wystarczyło. Kalina zgadzał się z nimi. Nierada nic nie mówił, ale widać było, że myśli to samo, co wszyscy, a to przesądzało sprawę).

(Jeszcze tydzień temu, w gorący czwartek, Jerzy leżał z Edkiem nad brzegiem stawu. Leniwie rozciągnięci na szarym kocu patrzyli na błyski słońca, tańczące po ich wysmarowanych tłustym kremem plecach i wodzie, rozlanej szeroko, tuż niemal pod nimi. Mówili mało, monosylabami. Nieopodal nich kłaskała woda, mali chłopcy brodzili w nadbrzeżnym szlamie i obrzucali się błotem).

Trzasnęły drzwi. Jerzy drgnął i ocknął się. Za nim stał Kalina. Romański z Czyńcem skończyli rozmowę.

— I co teraz będzie, Jerzy? — zapytał Kalina. Przyjaźnili się.

Spuścił głowę.

— Niema na co czekać — powiedział głośno.

Nierada wstał niezdarnie od stołu. Duża, siwa głowa trzęsła mu się na cienkiej szyi.

— Czas nagli — sięknął.

Otarł chustką czoło. Za oknem zaczął szczekać pies.

Jerzy odwrócił się.

— Niech to jasny szlag trafi — wyrzucił przez zęby.

— Co robić... — mruknął Kalina. Patrzył gdzieś w bok.

Jerzy spojrzał na zegarek. Czyniec podszedł do niego.

— Niema na co czekać — powtórzył za Jerzym.

———o———

Był już krwisty, czerwony zachód, kiedy Jerzy, Marian i Witek stanęli przed niską fasadą domku Browarczukowej. Drzwi do baru były szeroko otwarte, kilku chłopów śpiewało wewnątrz pijanymi głosami.

Przeciągali ostatnie słowa, kłócili się o coś, potem znowu śpiewali. Z boku domu dziewczyna zbierała bieliznę ze sznura, rozciągniętego między dwoma wyschłymi jabłonkami. Nałożyła sobie na rękę cały stos i zaszła za dom. Uliczka była pusta. Jerzy zapalił papierosa.

— Idź po niego — powiedział do Mariana — tylko uważaj, żeby cię kto nie zobaczył, bo wszystko na nic. Gwizdaj pod oknem.

— No, jak zawsze... — skinął głową i bez słowa poszedł ku bocznej furtce.

Usmarkany bachor wygrywał na zaślinionej, ustnej harmonijce. Siedział na płaskim kamieniu koło drzwi do baru i gmerał bosymi nogami w kałuży, rozlanej koło kamienia. Chłopi umilkli.

— Chodźmy — powiedział nagle Jerzy — dogonią nas. Lepiej nie stać w jednym miejscu.

Poszli małą dróżką, pod gałęziami dawno nieobcinanej morwy. Witek bezmyślnie śmigał trzymanym w ręku patykiem po chwastach, rosnących pod płotem. Jerzy przyjrzał mu się uważnie. Za rzadszą w tym miejscu morwą widać było babę, uganiała się za uciekającym prosiakiem. Ryż czerwonym ryjem w ziemi, przeraźliwie kwiczał i znowu uciekał. Z drugiej strony uliczki zgrzytał żóraw, szurgotał łańcuch i chlupała woda.

— Zaczekajmy tutaj — przystanął Jerzy. Zatrzymali się.

— Dobra pora, wszyscy jeszcze w polu...

— Yhy...

— Może zapalisz — Jerzy podsunął Witkowi otwartą papierośnicę — masz taką minę, jakbyś chciał się wyrzygać.

Witek wziął papierosa i zapalił. Stali, wypuszczając małe kółka dymu. Zaczynało być chłodno. Błękitne niebo nabierało koloru stalowego, gdzieniegdzie skrzyło się bladymi jeszcze gwiazdami. Zaszczekał pies, na dużym koniu jechał młody chłopak, bębniąc bosymi piętami po odętym, końskim brzuchu. W przedwieczorną ciszę wpadały szelchające uderzenia kopyt, jak ziarnka grochu do pustego garnka. Kilku wyrostków gnało chude krowy, kłaskając wiklinowymi prętami po chudych grzbietach. Nagle niepokojąco zagęgały gęsi.

— Idą już.

Jerzy odrzucił niedopałek. Witek poczuł się niedobrze. Palił rzadko, a teraz kilka razy zaciągnął się niebacznie. Czuł nieprzyjemny chłód w brzuchu.

Marian i Jasiek szli ku nim waską uliczką, stawiając wysoko nogi. Rozprawiali o czymś wesoło, gestykulowali. Jasiek był w rozpiętej na piersiach koszuli, zgrzebnych spodniach i grubych butach.

— Pić się chce, co? — zawołał do Jerzego. Widać było, że chciał się zachowywać tak, jak on, a wyglądało to tylko na nonszalancję. Bywało tak zresztą i dawniej.

— Chyba nic dziwnego.

— Upał, to i sucho w gardle — dodał Marian.

Przywitali się.

— Co ten taki niewyraźny — zaśmiał się nienaturalnie głośno Jasiek, wskazując na Witka. Jerzy zgiął usta w uśmiechu.

— Dałem mu zapalić i dzieciak czuje się niedobrze.

Roześmieli się. Witek wzruszył ramionami i nie powiedział nic.

— Gdzie pójdziemy? — Jasiek wsadził ręce w kieszenie spodni.

Jerzy i Marian spojrzeli po sobie. Sposób bycia Jaśka usuwał wszystkie wątpliwości, jeśli je można było jeszcze mieć.

— Chyba do Mariana. Przyniosłeś coś?

— A jak?

Pokazał na szyjkę płaskiej butelki, wystającą mu z tylnej kieszeni spodni.

— To kławo. Idziemy.

— Dostałem węgierskie papierosy, może zapalicie?

Marian wyciągnął paczkę z kieszeni.

— Dawaj, tylko nie Witkowi.

— Daj i mnie — poderwał się nagle Witek — jeszcze nie paliłem węgierskich

— Daj spokój, i tak jesteś blady.

— Żal ci, czy jak?

— A jak chcesz — Marian podsunął mu otwarte pudełko.

Szli wolno, w jednym szeregu wąską dróżką. Mijały ich krowy i gęsi, dwie młode dziewuchy ukraińskie niosły w drewnianym skopku mleko. Uśmiechnęły się do idących białymi zębami.

— Jurne baby — Jasiek odwrócił się za nimi — przygadać by je tak dzisiaj, co?

— Daj spokój — Jerzy roześmiał się głośno — co ty chcesz z tego Witka zrobić? — i dodał od niechcenia — znasz je może, nie?

— Nie, cholera, pierwszy raz na oczy widzę. To chyba nie stąd baby.

Stanęli przed dużą, na pół rozwaloną bramą.

— Co tak pusto u ciebie Marian? — zapytał Jasiek.

Podnieśli nieco wiszącą na jednym zawiasie bramę, odsunęli i przez powstałą w ten sposób szparę wcisnęli się na zachwaszczone podwórko. Jerzy wchodził ostatni. Oglądnął się szybko. Uliczka była pusta. („Nie ma co, idzie, jak krew z nosa, cholera").

— Starej nie ma — mówił Marian — pojechała do Kołomyi za handlem, a Wanda na jakichś imieninach w cukrowni.

— To byczo — ucieszył się Jasiek — będzie się można pobawić.

— Pewno — powiedział nagle Witek — pobawimy się, jak cholera.

Jasiek trącił Mariana, mrugnął porozumiewawczo.

— Widzisz, jaką ma ochotę, jak te baby zobaczył?

Sam się roześmiał głośno. Obchodzili zmurszały, drewniany domek. Kilka rachitycznych jabłonek i wiśni tuliło się do ścian. Mały ogródek zarosły był trawą i chwastami, na paru tylko grządkach wiły się wątłe łodygi pietruszki, fasoli i ścieliły się na pół wyschłe liście buraków. Przed rozpadającym się, wysokim płotem stała studnia, obok szopka na narzędzia, dalej rozrastał się sad, a za nim, widoczne przez tunel szerokiej ścieżki pola, pokrywające się płachetkami mgieł, ciemniejące.

— Czemuś tak zapuścił ogródek? — spytał Jerzy.

— Nie ma komu robić! Matka handluje, ja cały dzień w pracy, Wanda tak samo, a wraca człowiek zharowany i tylko spać się chce.

— Szkoda takiego ogródka — powiedział Jasiek, patrząc na kury, grzebiące pomiędzy fasolą. Na wprost czerwieniał się dojrzewającymi jabłkami sad.

— No, ale z tego, to macie pożytek.

— Ja myślę.

Marian otwierał zamknięte na dużą kłódkę kuchenne drzwi. Nieprzyjemnie zazgrzytał klucz. Weszli do środka. Z niskiej, ciemnej sionki drzwi prowadziły z prawej strony do pokoju przy kuchni, — z lewej do dużego, mrocznego pokoju z małym oknem, wychodzącym na podwórko.

W pokoju tym stały w nieładzie meble, w kątach stosy skrzyń i papierów, a w purpurowych smugach światła słonecznego tańczyły tumany kurzu.

— Brudno, jak jasny gwint — powiedział Marian, oglądając się wokoło — ale nie, czekajcie, urządzimy się jakoś.

Mały stolik otarł z kurzu i postawił w kącie. Przytoczyli cztery krzesła i posiadali ciężko.

— Coś tu ponuro w tym twoim pokoju, jak w trumnie — mruknął Jasiek, wyciągając z kieszeni flaszkę wódki.

— Co się martwisz! — zawołał wesoło Jerzy, i wyciągnął drugą.

— No, zobaczymy — rozchmurzył się trochę Jasiek — ale potem musimy przygadać jakieś baby.

— Nie martw się, dobrze będzie!

Marian gmerał w niskiej szafce, stojącej przy przeciwległej ścianie.

— Będzie i zakąska — powiedział, wyciągając bochenek chleba i kawałek boczku, owinięty w załłuszczony papier.

— Ale czerwono w pokoju — odezwał się nagle Witek.

— W głowie ci czerwono — mruknął Jerzy.

Robiło się coraz ciemniej. Purpurowe błyski gasły powoli, kontury mebli zacierały się w szarym mroku, który wypełzał powoli z ciemnych kątów.

Marian nalewał wódkę.

— Nie mam jakoś ochoty do zabawy — powiedział nagle Jasiek.

Kieliszki były już nalane.

— Wypij, to nabierzesz.

Marian wychylił swój kieliszek, podnosząc wysoko brodę i gulgocząc, jak indor. Ujęli niezgrabnie szklane nóżki. Jerzy czuł w sobie nużący bezwład, chłód i niechęć do wszystkiego.

Wychylił swój kieliszek.

— Nalej jeszcze, — powiedział do Mariana — może tobie już wystarczy? — popatrzył na Witka.

Temu płonęły niezdrowym blaskiem oczy.

— Nie — poprosił bezwiednie — dajcie mnie jeszcze.

Jerzy zrozumiał i bez słowa kiwnął głową. Witek popatrzył nań z wdzięcznością.

Wypili.

— Jeszcze.

Jaśkowi wystąpiły na twarz ceglaste rumieńce i zmętniały trochę oczy. Rozpiął koszulę i począł się skrobać grubymi, czarnymi pazurami po owłosionej piersi. Otarł chustką czoło. Robiło mu się wesoło na duszy.

— Zdrowo dzisiaj pijecie.

— Lu jeszcze.

Wypili. Wszystko zaczęło się lekko ruszać z miejsca: stoły, krzesła.

— Jeszcze.

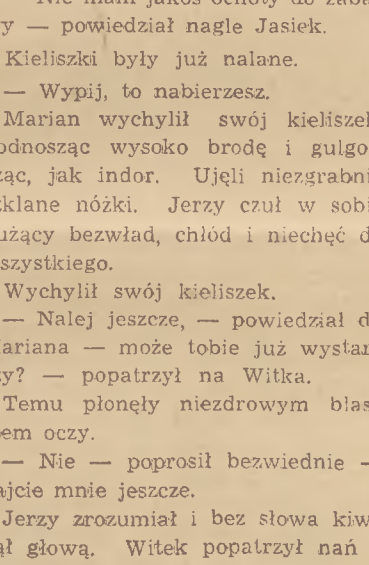

Teraz wypił tylko Jasiek. Popatrzył na nich przekrwionymi oczyma.

— Czego nie pijecie?

— Co się martwisz, pij!

— Czego nie pijecie — powtórzył z pijackim uporem, odsuwając od siebie kieliszek — nu, zaśpiewamy! Oj, ta—ra—ra — zanucił fałszywie — lu jeszcze!

Nalał, wypił. Znowu sam.

Marian już od paru minut patrzył zdziwiony na Jerzego. („Co temu, cholera. Że Witek, to nic dziwnego, ale Jerzy...").

Wyciągnął papierosy

— Zapalicie?

— Dawaj.

W coraz gęstniejącym mroku rozjarzyły się cztery ogieńki papierosów. Witek palił także. Czuł się z każdą chwilą gorzej. Wypita wódka pulsowała w nim, krążyła ogniem po żyłach, uderzała do głowy

— Mocne te węgierskie — zaciągnął się, zakrztusił, palił dalej

— Mocne.

Na górze zaszurgotało nagle jak by ktoś ciągnął płachtę po deskach. Podnieśli niespokojnie głowy.

— To szczury — powiedział Marian.

Witek wstrząsnął się z obrzydzeniem

— Nie znoszę szczurów!

— Kto je znosi? — zaśmiał się Jasiek, rozwalony na krześle, porozpinany. Popatrzył na nich.

— Co wy tacy niewyraźni?

Sięgnął po butelkę. Jerzy odrzucił nagle ledwo zapalony papieros i oparł się na stole łokciami.

— Marian — powiedział — zasłoń okna, Witek zapali lampę.

— Oj, ta—da—da — nucił Jasiek. Wychylił nowy kieliszek i zaczął jeść, mlaskał, trzymając w jednej ręce pajdę razowego chleba, w drugiej kawał wędzonki. Marian bez słowa zatrzaskiwał okiennice. Witek wstał i zatoczył się. Opadł na krzesło.

— Nie mogę... — stęknął.

Jasiek mierzył go rozbawionym spojrzeniem.

— Już ma dość, co? Szczeniak... oj ta—da—da...

Jerzy sięgnął na półkę, zdjął lampę i sam zapalił. Knot, niezupełnie dobrze obcięty, palił się nierówno, odbijał się żywymi, czerwonymi iskierkami w butelkach i kieliszkach. Światło padało na stół nierównymi smugami, przez okopcone szkło, reszta pokoju tonęła w cieniu.

— Niech to szlag trafi — stęknął Jasiek, próbując wstać — idę po baby.

Marian spojrzał na Jerzego. Ten uniósł wysoko brwi i opuścił.

Marian odstąpił parę kroków, tak, że znalazł się między drzwiami a stołem. Jerzy wstał z krzesła i oparł się o kant stołu. Witek podniósł się także i chwycił za poręcz krzesła. Patrzył na Jerzego szeroko otwartymi oczami.

— Jasiek — powiedział wyraźnie i bardzo głośno Jerzy — przestań pić!

Popatrzył na niego zdziwiony, zmętniałymi oczami.

— Co chrzanisz — mruknął — piję, za swoją forsę kupiłem.

— Za swoją forsę? — głos Jerzego zadrżał, widać było, że jest bliski wybuchu — dużo jej dostałeś za... Edka Dembińskiego?

Jasiek skoczył nagle na równe nogi, jakby poderwany uderzeniem bata. Trzeźwiał powoli.

— Co chrzanisz — powtórzył — co ja miałem z Edkiem Dembińskim?

— Co ty miałeś z Edkiem Dembińskim? — zapytał Jerzy.

Nagle trzasnął pięścią w stół, aż podskoczyły butelki.

— Ty bydlaku! — wrzasnął — Edka rozwalili dzisiaj na okopisku w Kołomyi, nic nie wiesz?!

— Jerzy — Marian stanął przy nim — szkoda nerwów.

Gdzieś niedaleko huknął strzał. Jasiek odstąpił krok. Zaczynał rozumieć, o co chodzi.

— Jerzy... — powiedział. Popatrzył na nich. Jerzy trzymał rękę w kieszeni. Marian stał koło drzwi, w otwartej dłoni huśtał świecącą parabelkę. Jasiek zrozumiał wszystko.

— Jerzy — wyciągnął rękę — Marian — podszedł do niego — Witek — powtórzył bezradnie — ja... ta ja nic...

— Co ty nic — powiedział Jerzy. Szybko bladł — no mów, masz parę sekund czasu.

Wyciągnął z kieszeni pistolet, odbezpieczył. Jasiek chwycił się za głowę. Robił wrażenie małego dziecka.

— Chłopaki, ja nie...

— Nie wsypałeś Edka?

— Jerzy, ja nic nie wiem. O ciebie się pytali, ja nic... Chłopaki, my od bękarta się znamy...

— Od bękarta znałem Edka! Odejdź!

— Coś powiem, Je...!

Niski, zwielokrotniony echem strzał rozgromił ciszę. Jasiek zgiął się wpół, jak kopnięty w brzuch.

— Od bęk... — wykrztusił, zwinął się i upadł Jerzy wyciągnął rękę i odwrócił głowę. Drugi strzał zabrzmiał jakby pełniej, wyraźniej.

Bełkot i gulgotanie ustały nagle strzał trafił prosto w oko. Pozaginane jak szpony palce zwarły się w rozpaczliwym skurczu na szparach podłogi. Nastała chwileczka ciszy. Brzęknęło szkło. Witek rozbił butelkę i zasunął się w kąt. Kroki Mariana od drzwi zdawały się mu dysonansem. Jerzy zabezpieczył pistolet i wsunął go do kieszeni.

Marian niósł w ręku szary pled.

— Przykryjemy — Jerzy skinął głową.

Rozciągnęli pled w rękach i zarzucili na skurczone ciało Jaśka.

Znowu zaszurgotały szczury. Rozlana wódka kapała ze stołu na podłogę. Witek zakaszlał w kącie.

— Pocośmy brali toto — mruknął, wskazując nań, Jerzy — byłem idiota...

— Co się będziesz martwił — wzruszył ramionami Marian — musiał kiedyś zacząć.

— Posprzątajmy ze stołu.

Zaczęli sprzątać gorączkowo, ścierać kałuże, odstawiać krzesła. Nic do siebie nie mówili.

— Pomógłbyś — mruknął Marian do Witka.

— Idź do cholery! — rzucił się.

Jerzy podszedł do niego.

— Wstydziłbyś się, masz osiemnaście lat! — powiedział i odwrócił się.

Odstawili stół na środek. Milcząca obecność trupa ciążyła im.

Witek wstał nagle.

— Pomogę wam — burknął.

Popatrzyli z niedowierzaniem

— Chodź — mruknął Jerzy.

Wyszli na dwór. Niebo było usiane gwiazdami.

———o———

Ciężki zapach kwiatów przycichł się nad ogródkiem. Kiedy Jerzy otwierał furtkę, była piękna, gwiaździsta noc. Trzaskał pod butami miałki żwir.

Furtkę zamknął ostrożnie, by nie szczęknęła. Równocześnie zauważył, że koło pnia jabłoni ktoś stoi. Podszedł bliżej, poznał Dorotę.

— To ty...

— Niepokoiłam się o ciebie. Gdzie byłeś? Żandarmi chodzili po osadzie, ludzie mówili, że będzie rewizja.

— Głupstwo, Dora. Zbieraliśmy informacje...

Poszli ku majaczącemu pod jabłonią leżakowi.

— Twój ojciec jest u nas?

— Tak, i matka. Wykręciłam się, powiedziałam, że głowa mnie boli.

Dorota położyła się na leżaku. Jerzy obok niej. Między gęstwiną gałęzi, na samej górze, majaczył skrawek nieba, przecinany co chwila smukłymi cieniami kilku wyschłych gałązek. Poza płotem, gdzieś na środku osady, szczekała pompa ktoś opowiadał, widać dowcipy, bo słuchacze wybuchali śmiechem hałaśliwym i nieprzyjemnym. Chwilami zapadała cisza i wtedy było słychać tylko senne, rzadkie poćwierkiwanie ptasie.

— Masz coś twardego w kieszeni na piersiach.

Wyjął pistolet i położył na ziemi, pod leżakiem.

— Brałeś pistolet. Ty jesteś, nie słyszysz?

Niedaleko gruchnęło kilka strzałów. Ktoś się śmiał.

— Gestapowcy są u Mayera. Pobili małego Liniaka, spacerowali z tymi córkami Mayera i, pokazywałeś mi ją, Letzką.

— Za co pobili Liniaka?

— Nie ukłonił się im

— A Letzka była sama?

— Nie, asystował jej taki jeden blady, w binoklach. Jakiś ważniejszy. Widziałam ich z okna

Między gałązkami zaszumiał lekki wiatr.

— A co do Edka... niema nic?

Przyciągnął ją bliżej do siebie.

— Dobrze, że jesteś, Dorota. A tam, nic nowego...

Pocałował jej gorące, lekko rozchylone usta.

Znowu huknął strzał. Ktoś zaśmiał się głośno.

KONIEC
CZĘŚCI PIERWSZEJ

CZĘŚĆ DRUGA: TRANZAKCJA

W wyniku nieszczęśliwej tranzakcji (kupno broni), której dokonał Karolko z agentem Gestapo — Jerzy po walce dostaje się ranny do szpitala więziennego, część członków jego grupy zostaje zaaresztowana potem rozstrzelana.

CZĘŚĆ TRZECIA: MGŁA

Ucieczka Jerzego i jego rozprawa z Weisemannem. Po przejściu frontu Jerzy powraca do zbombardowanego domu i dowiaduje się o śmierci ojca. Dzięki pomocy władz radzieckich udaje mu się wyjechać. Czynią to i inni.

WNĘTRZE i WYSTAWA
WARSZAWA PL. GRZYBOWSKI 2
WiW
PROJEKTUJE I W
WNĘTRZA I WYS

Co piszą inni.

Ku umocnieniu Porozumienia

KU UMOCNIENIU POROZUMIENIA

Jednym z najciekawszych ostatnich wydarzeń kulturalnych w Polsce jest ukazanie się nowego miesięcznika *p. n. „ŻYCIE I MYŚL"*, którego 1—2 numer (za maj — czerwiec 1950 r.) zademonstrował wysoką klasę intelektualną i pożyteczną aktualność tematyki. Pismo wydawane jest przez *Instytut Zachodni* w Poznaniu; w skład komitetu redakcyjnego wchodzą: *Włodzimierz Głowacki, Zdzisław Jaroszewski, Zdzisław Kaczmarczyk, Alfons Klafkowski, Aleksander Rogalski, Michał Sczaniecki, Tadeusz Lehr-Spławiński, Mieczysław Suchocki, Zygmunt Wojciechowski i Seweryn Wysłouch.*

Związek miesięcznika z problematyką katolicką, a zwłaszcza z realizowaniem Porozumienia zawartego między Rządem RP a Episkopatem Polskim, jest zaakcentowany przez przedrukowanie tekstu Porozumienia. W umieszczonych na początku numeru „Rozważaniach wstępnych" (podpisanych inicjałami Z. W.) czytamy: „W dzisiejszej dobie, gdy ludzkości zdaje się zagrażać trzecia wojna światowa, której zniszczenia przekroczyłyby znacznie w sumie zniszczenia wojen pierwszej i drugiej, — w dobie walki o pokój, zagadnienie stosunku Kościoła do Państwa w sposób szczególny nabiera znaczenia".

Ten artykuł wstępny zawiera tak wiele interesujących uwag, że postanowiliśmy przedrukować go w obszernych fragmentach celem udostępnienia naszym czytelnikom przemyśleń zespołu redakcyjnego nowego pisma. (Uwaga: tytuły i podkreślenia pochodzą od nas — Red. „Dziś i Jutro".)

GROŹNE NIEBEZPIECZEŃSTWO

Autor na początku zwraca słusznie uwagę na niebezpieczeństwo, wobec którego katolicy powinni wykazywać szczególną czujność. Chodzi tu o imperialistyczną politykę Stanów Zjednoczonych, których kierownicy usiłują wykorzystać autorytet sprawy katolickiej dla swoich własnych celów, stojących w jawnej sprzeczności nie tylko z dobrem polskiej kultury katolickiej, ale również z interesami całego katolicyzmu w skali światowej.

„Polityka amerykańska pragnie wprząc Kościół Katolicki do rydwanu swoich zamierzeń. Niektóre z kół katolickich niemieckich sprzyjają tym tendencjom i stają się dla nich rodzajem koła napędowego. Rzecz to zrozumiała z punktu widzenia nacjonalistyczno-politycznego, ale nie katolickiego, gdyż Stany Zjednoczone są w większości krajem protestanckim. Wiadomo, ile trudności na terenie wewnętrzno-amerykańskim miał Roosevelt, gdy nawiązywał stosunki dyplomatyczne z Watykanem w czasie drugiej wojny światowej. Emigranci polityczni z Polski, o ile są działaczami katolickimi, nie napotykają w Ameryce na szerszy odzew i są co najwyżej tolerowani. Tolerancja ta dyktowana jest względami czysto politycznymi. Na dalszą więc przyszłość perspektywy porozumienia Kościoła Katolickiego z protestantyzmem amerykańskim nie rysuje się różowo."

KATOLICYZM W POLSCE JEST JEDNYM Z FILARÓW UNIWERSALIZMU KATOLICKIEGO

„Od początku epoki humanizmu i reformacji — pisze dalej autor — poprzez wiek oświecenia i pozytywizmu świat stawał się coraz bardziej świecki. Przyspieszało ten rozwój wolnomularstwo. Od połowy XIX wieku papiestwo było poważnie zagrożone na terenie włoskim. Zainicjowany w tej sytuacji bismarkowski „Kulturkampf" z natury rzeczy był próbą zadania nowego ciosu Kościołowi Katolickiemu w Europie. Laicyzacja Francji tak wyraźnie zaznaczona w początku wieku XX, ten stan rzeczy jeszcze bardziej zaostrzała. Tym samym jednak coraz większy nacisk poczęto kłaść na możliwości porozumienia z Niemcami, w których Centrum po zakończeniu „Kulturkampfu" zaczęło odgrywać tak dużą rolę.

Polska była tradycyjnie wierna, ale względy bieżącej polityki watykańskiej oraz niewzruszone zaufanie do trwałości katolicyzmu w Polsce sprawiły, że nie dość liczono się z rolą Polski w uniwersalizmie katolickim. Zjawisko to wystąpiło jaskrawo w pierwszych latach po drugiej wojnie światowej. Polityka tradycyjna szła w kierunku popierania katolickich Niemiec, co z natury rzeczy musiało stać się dla polityków niemieckich atutem w dążeniach rewizjonistycznych. Polityka ta przesłaniała też tę oczywistą okoliczność, że *na skutek powrotu Ziem Odzyskanych do Polski tereny na wschód od Odry stały się katolickimi, podczas gdy do tego czasu były w przeważającej mierze protestanckimi.* Względy polityki bieżącej nie pozwalały dojrzeć, że przecież *katolicka Polska jest jednym z filarów uniwersalizmu katolickiego, którego nie może zastąpić ani w większości akatolicka Francja, ani — tym mniej — protestancka Ameryka.*"

Ten właśnie aspekt problemu Ziem Odzyskanych powinien być przez katolików polskich jak najmocniej podkreślany. Jest wyrazem głębokości kultury katolickiej w Polsce, że racja stanu naszego państwa pozostaje w tak wielkiej harmonii z prawdziwymi interesami uniwersalizmu kościelnego. Granica na Odrze i Nysie jest sprawiedliwym zwycięstwem Słowiańszczyzny, zwycięstwem Polski, a jednocześnie zwycięstwem katolicyzmu, który na tych terenach był od wieków tępiony przez najeźdźców. Biskupi polscy przypomnieli o tym całemu światu katolickiemu, stwierdzając w tekście Porozumienia, że „zarówno prawa ekonomiczne, historyczne, kulturalne, *religijne*, jak i *sprawiedliwość dziejowa* wymagają, aby Ziemie Odzyskane na zawsze należały do Polski." Oby ten głos jak najszybciej został zrozumiany przez katolików na zachodzie Europy!

KATOLICYZM POLSKI AWANGARDĄ NOWEJ EPOKI KULTURY KATOLICKIEJ

„Tymczasem na terenie ziem polskich zaczęły zachodzić inne niezwykle ważkiej natury procesy, stawiając Kościół wobec kwestji zupełnie zasadniczych. Polska znalazła się w obrębie wielkiej rewolucji o zasięgu uniwersalistycznym, rewolucji, wobec której społecznych haseł Kościół nie może zajmować stanowiska ani obojętnego, ani negatywnego.

Ta wielka rewolucja wzięła początek z haseł socjalistycznych, sformułowanych przez Marksa i Engelsa, realizację jednak znalazła na terenie pozamacierzystym, w Związku Radzieckim. W życiu społeczno-politycznym nie chodzi tylko o hasła, ale w niemniejszej mierze o ich realizację. Szukanie rodowodu haseł zmusza nas równocześnie do poszukiwań rodowodu ich realizacji. To zaś prowadzi nas w oczywisty sposób na teren Związku Radzieckiego i szereguje realizatorów tych haseł obok ich pierwiastkowych twórców.

W dobie kiedy te idee zaczęły dochodzić do głosu, Kościół był na ogół wrośnięty w tę sytuację społeczno-polityczną, która nadawała ton całej epoce. Mówiono przecież w tych czasach o sojuszu tronu i ołtarza, a to nieuchronnie prowadziło do kolaboracji pomiędzy klasami społecznymi popierającymi tron a wysokimi kołami kościelnymi. Tymczasem stosunki społeczno-polityczne ulegały przemianom. Kościół znalazł się więc w pewnej mierze w sytuacji nowej i w znacznym stopniu był do niej nieprzygotowany. Wprawdzie papież Leon XIII pragnął dostosować Kościół do nowych warunków życia społecznego, życie jednak biegło dalej szybciej i wyprzedzało postulaty zawarte w encyklikach Leona XIII.

W tych warunkach Kościół musiał i musi się zwracać do swoich podstawowych założeń i do swoich najstarszych tradycji. Nie trzeba wszak szczegółowo tłumaczyć, że chrześcijaństwo w pierwszych fazach swego istnienia było religią uciśnionych, było — wprawdzie niemym — protestem w stosunku do ówczesnego ustroju społecznego.

W historii Kościoła znamy fakty odchylania się od tych pierwotnych założeń i powracania do nich. Okresy, w których powroty te się zaznaczają, są najpiękniejszymi rozdziałami historii Kościoła. Przykładem św. Franciszek z Asyżu i bujne odrodzenie życia religijnego w XIII wieku. Odwrotnie, gdy w pewnych epokach Kościół nie okazywał zdolności regeneracyjnych, kończyło się to rozłamami, spowodowanymi w nieostatniej mierze krytyką stosunku Kościoła do jego pierwotnych założeń podstawowych. Gdy w dobie renesansu doszło do nadmiernego ześwieczczenia papiestwa, jeden z protestów w stosunku do tego stanu rzeczy wyraził się w proklamacji Lutra.

Współczesna sytuacja jest dla Kościoła tym bardziej trudna, że wielka rewolucja, której przebiegu jesteśmy świadkami i uczestnikami, wchodzi w dziedzinę, która była do tego czasu domeną nieomal wyłącznie Kościoła. Gdy w średniowieczu tworzył się świat feodalny, gdy powstawała nowa społeczna hierarchia, oparta na łańcuchu ogniw zależności człowieka od człowieka, Kościół głosił zasadę prawa Bożego i równego stosunku każdego człowieka do Boga. Kościół zasięgiem swoim obejmował więc całe społeczeństwo, a nie tylko jego szczyty. Dziś wielka rewolucja społeczna sięga do wszystkich, głosząc hasła sprawiedliwości społecznej dla wszystkich. Gdy dawniej świat był podzielony na różne zwalczające się nawzajem państwa, Kościół poprzez zasadę uniwersalizmu katolickiego starał się łączyć te różne organizmy w jedną całość wyższego rzędu. Dziś uniwersalizm rewolucyjny przekracza w szerokiej mierze te osiągnięcia, jakie w tej dziedzinie uzyskiwał w minionych wiekach Kościół. Uniwersalizm rewolucyjny obejmuje nie tylko różne kraje i państwa, nie tylko różne części świata, nie tylko ludzi różniących się kolorem skóry, ale i ludzi różnych wyznań, do których Kościół wprawdzie docierał, ale których mimo całego wysiłku wkładanego w te starania opanować nie zdołał.

Ten wielki proces rewolucyjny spotkał się na terenie polskim po raz pierwszy z tradycyjnym podkładem katolickim. Aspekt tego zagadnienia jest ogromnej wagi.

Nie stało się to ani w Rumunii, ani w Bułgarii, które były krajami z tradycjami prawosławnymi. Ani na Węgrzech, gdzie zaznacza się dość znaczne rozbicie wyznaniowe i gdzie katolicyzm zbyt był powiązany z tradycjami monarchii habsburskiej. Ani w Czechach, gdzie katolicyzm na skutek splecenia go z imperializmem i centralizmem habsburskim natrafiał na wielowiekowy opór ze strony narodowo uświadomionego społeczeństwa czeskiego. Stało się to natomiast w wyraźny sposób w Polsce. Wzajemne ustosunkowanie się katolicyzmu polskiego i państwa ludowego, opartego na podstawach wielkiej rewolucji, wyraziło się w ostatnich tygodniach podpisaniem układu między Rządem a Episkopatem."

ASPEKT WEWNĘTRZNY POROZUMIENIA

„Nie jest naszym zdaniem — pisze autor — roztrząsać i precyzować w tej chwili różnice światopoglądowe między obozem wielkiej rewolucji a wierzącymi katolikami — tym bardziej, że zawarte porozumienie dokonane zostało pod kątem widzenia normalizacji stosunków i współpracy w tych dziedzinach, które obustronnie uznane zostały za bezsporne. Zatem aspekt wewnętrzny tego zagadnienia to wszechstronna normalizacja życia społecznego. Naszym zadaniem jest *uświadamianie katolickiemu społeczeństwu polskiemu tego, co w hasłach wielkiej rewolucji nie może mu być obcym.* Nie chodzi tu tylko o postulat odbudowy kraju, postulat oczywisty, ale o stosunek do przemian społecznych, wywodzących się z haseł sprawiedliwości społecznej łącznie z hasłem walki z wyzyskiem człowieka przez człowieka.

Klasyczne zadanie Kościoła, realizowane na przestrzeni wieków, od początków jego istnienia, *wyraża się w łagodzeniu obyczajów.* Okres rewolucji, okres wielkich przemian społecznych, na które nie wszyscy dobrowolnie się godzą, spełnianiu tego zadania nie sprzyja. Natomiast po dokonaniu rewolucji, gdy Kościół jako czynnik z zasady i tradycji do tego łagodzenia obyczajów powołany, stanie na gruncie przeprowadzonych reform społecznych, fakt ten walnie przyczynić się musi do wszechstronnej normalizacji życia społecznego."

ASPEKT ZAGRANICZNY POROZUMIENIA

„Wielkie przemiany, których jesteśmy świadkami, zwolna ogarniają świat cały. Ogarniają nie bez protestu, który obecnie grozi przemianą w protest krwawy. W tych warunkach normalizacja życie wewnętrznego w Polsce, modus vivendi pomiędzy rewolucją a Kościołem na terenie tych dziedzin, w których Kościół zasadniczo nie może być innego zdania, walnie przyczynia się do pacyfikacji stosunków w skali nie tylko polskiej.

Hasłem naszych dni jest obrona zagrożonego pokoju, walka o pokój. Mylne jest przekonanie, że wielkie procesy rewolucyjne zniweczyć można akcją zbrojną. Nigdy to się nie udawało, nie może się udać i teraz. Ale nie tylko o to chodzi. Trzeba równocześnie zaoszczędzić światu rozlewu morza krwi i łez, nowej fali zniszczeń, tym razem w wymiarach dosłownie apokaliptycznych.

Zawarcie układu pomiędzy Kościołem a Rządem, ustalenie możności współpracy wielkiej rewolucji z Kościołem Katolickim, walnie służy sprawie pokoju. Wytrąca broń z ręki tym, którzy prą do nowej wojny. Stwierdza, że w ramach realizmu socjalistycznego jest miejsce dla sytuacji i potrzeb ludzi wierzących. Otwiera perspektywy współpracy pomiędzy ustrojem socjalistycznym a Kościołem, skłania Kościół do nawrotu do swoich pierwiastkowych założeń socjalnych."

CO ZNAJDZIEMY W PRZYSZŁYCH NUMERACH „ŻYCIA I MYŚLI"?

„Z tego krótkiego przeglądu myśli, które tłoczą się nam w chwili, [illegible]ka przeżywamy, wynika także da[illegible] *problematyka naszego pisma. I punktem wyjścia będzie zagadnienie walki z próbą włączenia Kościoła do rewizjonizmu kół imperialistycznych niemieckich.* Zagadnienie to wielkiej wagi, które jak nić przesuwa się poprzez naszą historię. Jeżeli uważny Czytelnik zapoznał się z artykułem śp. prof. Abrahama, ogłoszonym w numerze 12 „Przeglądu Zachodniego" za rok ubiegły („Gniezno i Magdeburg"), dowiedział się, że przed tym problemem stanęło już pierwszy raz powstające Państwo Polskie. Władcy polscy w X wieku tak samo jasno widzieli ten problem, jak jasno widzi go rząd współczesny. Oczywista, że *nie chodzi tu o walkę ani z narodem niemieckim, ani z niemieckim katolicyzmem, ale z tendencją do nadużycia religii do celów, które z założeniami katolicyzmu nic wspólnego nie mają.*

W dalszej kolei chodzić nam będzie o *spojrzenie na stosunek Kościoła do zagadnień społecznych w perspektywie wieków*, aby przekonać rzesze Czytelników, że był to w najpiękniejszych okresach dziejów Kościoła problem bardzo żywotny. Oczywiście, że zagadnienia tego w monograficzny sposób opracowywać nie myślimy, ile że to nie nasza rola i że w znacznej mierze zostało już dokonane. Natomiast wyniki badań w tej dziedzinie przeprowadzonych starać się będziemy podawać w sposób dokumentowany, a więc wychodząc poza ścisłe granice publicystyki.

Następnie interesować nas będą *zagadnienia związane z historią religii, z miejscem jej w całokształcie życia wielu społeczeństw minionych i niekiedy bez śladu zaginionych cywilizacji.* Z tego przeglądu wyniknie, że współczesny realizm socjalistyczny słusznie stoi na gruncie uznania potrzeb ludzi wierzących, gdyż potrzeba religii jak nić nieprzerwanie przewija się poprzez długie tysiąclecia dziejów ludzkości. Rzecz jasna, że w tym zakresie interesować nas będą zagadnienia religijno-kościelne, związane z historią naszej cywilizacji i naszym czasom stosunkowo bliskie. Oczywiście, że dotyczyć to będzie i stosunków ściśle polskich.

Równolegle z tym sporo miejsca poświęcać będziemy szerszym zagadnieniom historyczno-kulturalnym."

DLACZEGO INSTYTUT ZACHODNI?

„Pozostaje do wyjaśnienia sprawa, *dlaczego tematykę tę podejmuje Instytut Zachodni.* Częściowe uzasadnienie tej okoliczności daliśmy

już we słowie wstępnym zamieszczonym w nr 12 „Przeglądu Zachodniego" za rok ubiegły. Pisaliśmy tam, że zagadnienie Ziem Odzyskanych nie jest izolowane z całokształtu stosunków politycznych i rozpatrywanie go w takiej izolacji nie odpowiadałoby rzeczywistości. To poszerzenie sprawy należy na tym miejscu dalej rozszerzyć. *Przygotowywana agresja chce przybrać formę nowej wyprawy krzyżowej i z natury rzeczy chce do organizowania tej wyprawy wprząc katolików. Stwierdzenie, że między obozem wielkiej rewolucji a światem katolickim istnieje szereg wspólnych postulatów, stwierdzenie, i z tego punktu widzenia, że polscy katolicy do tej roboty wciągnąć się nie dadzą, jest równocześnie działaniem przeciw agresji, godzącej w pierwszym rzędzie w nasz stan posiadania na Zachodzie — jest więc zarazem formą ochrony Ziem Odzyskanych, do pracy nad którymi Instytut został statutowo powołany.* Niemniej, ponieważ niektóre elementy tej poszerzonej tematyki, aczkolwiek łączą się z zadaniami Instytutu, wybiegają poza jego ściślejszy zakres, odpowiedzialność w łonie Instytutu za redakcję nowego pisma przyjął osobny zespół redakcyjny.

Podejmując to odpowiedzialne zadanie, jesteśmy przeświadczeni, że czyniąc to służymy nie tylko sprawie dalszej normalizacji stosunków wewnętrznych w Polsce, ale także sprawie pokoju, wnosząc nasz skromny udział do walki z groźbą ponownego wtrącenia świata w odmęt krwawej wojny."

KRZEPIĄCA ZBIEŻNOŚĆ

Czytelnicy dostrzegają zbieżność przytoczonych wyżej tez z poglądami naszego zespołu, którym dawaliśmy niejednokrotnie wyraz na łamach „Dziś i Jutro". Jest to zbieżność krzepiąca. Dowodzi ona jeszcze raz, jak silne oparcie ma Porozumienie zawarte między Rządem RP a Episkopatem Polskim, z jak głębokim i dojrzałym zrozumieniem spotkało się ono w społeczeństwie polskim. Porozumienie to — ku przerażeniu polityków amerykańskich — nie jest efemerydą polityczną. Może wreszcie to zrozumieją „obrońcy zachodniej cywilizacji", którzy bardzo źle trafili w swoim stawianiu na katolicyzm. Katolicy polscy rozporządzają dostatecznym poziomem intelektualnym, aby rozumieć istotę *uniwersalizmu* Kościoła i bronić tego uniwersalizmu przed wciąganiem go w orbitę partykularystycznych interesów ginącej formacji społecznej. O to właśnie chodzi — o ciągłe podnoszenie poziomu intelektualnego, o rozumienie zasad i potrzeb Kościoła, a jednocześnie o jak najlepszą orientację w złożonej sytuacji współczesnego świata. Pierwszy numer „Życia i Myśli" jest udanym startem do realizacji zapowiedzianego programu naukowo-informacyjnego.

PROBLEMY KATOLICYZMU NIEMIECKIEGO

Sięga do nich *Aleksander Rogalski* w ciekawym i bogato udokumentowanym artykule pod skromnym tytułem *„Katolicyzm niemiecki dzisiaj (Luźne uwagi)"*.

„To, co się dzieje dzisiaj w Niemczech zachodnich na terenie Kościoła Katolickiego, hierarchii i kleru, jak również politycznych partii, w których udział katolików jest bardzo wielki, — pisze autor — nastroić może do najczarniejszego pesymizmu. Wciąż ciążą nad katolicyzmem niemieckim tradycje nacjonalistyczne. Upiory z tej przeszłości, w której dominowała niesławnej pamięci zasada związku tronu i ołtarza". Te obciążenia nacjonalistyczne (które tak ściśle wiążą się z problemem granicy nad Odrą i Nysą) są tak silne, że nie wygasły nawet wtedy, gdy pogrom Trzeciej Rzeszy stwarzał dla katolików niemieckich jedyną w swoim rodzaju szansę do dokonania własnego odrodzenia. Akcja rewizjonistyczna Niemiec Zachodnich godzi już nie w interesy, ale w byt Narodu Polskiego.

Aleksander Rogalski zebrał w swoim artykule wiele cennych wiadomości o sytuacji społecznej i obliczu duchowym katolicyzmu niemieckiego w strefach zachodnich. W smutnym na ogół obrazie są pewne jaśniejsze punkty: znajdują się pewne grupy lub jednostki, które podnoszą protest przeciwko katastrofalnemu stanowi rzeczy. Czy znajdą one dość siły, aby przeciwstawić się odrodzonemu szowinizmowi, podsycanemu przez zachodnie władze okupacyjne?

Z HISTORII KOŚCIOŁA W POLSCE

Do samych źródeł historii Kościoła w Polsce prowadzi nas artykuł zmarłego znakomitego uczonego polskiego, *Władysława Abrahama* pt. *„Jedyne polskie biskupstwo przed rokiem 1000"*. O dorobku naukowym Władysława Abrahama, zasłużonego badacza prawa kościelnego i historii Kościoła w Polsce średniowiecznej mówi nam obszerna rozprawa (dalszy ciąg przeniesiony jest do następnego numeru) Tadeusza Silnickiego pt. *„Władysław Abraham (1860 — 1941)"*. Opierając się na pracach Abrahama autor przedstawia czytelnikom bogate materiały dotyczące organizacji Kościoła w monarchii piastowskiej.

Z HISTORII SŁOWIAŃSZCZYZNY

Tadeusz Lehr-Spławiński drukuje w numerze rozprawę pt. *„Patriarchat Focjusza a sprawy słowiańskie w IX wieku"*, która stanowi gruntowną analizę procesów historycznych towarzyszących powstawaniu Kościoła Prawosławnego i rozbiciu jedności chrześcijańskiej na terenie świata słowiańskiego. Wiele wiadomości historycznych o państwach słowiańskich, zwłaszcza o ich powstawaniu przynosi artykuł *Kazimierza Tymienieckiego* pt. *„Nieznany kraj (Europa środkowo-wschodnia i dzicje powszechne)"* będący omówieniem głośnej książki uczonego francuskiego Jacques Pireune pt. „Les grands courants de l'histoire universelle" (wyd. w r. 1945, 1947, 1948). *Michał Straszewski* omawia *„Ceske pohanstvi"*, niedawno wydaną książkę Zarisa Kabandry o źródłach czeskich legend dotyczących bajecznych dziejów Czech i postaci wczesnohistorycznych. Wreszcie w numerze znajdujemy informacje o pracach prowadzonych przez uczonych polskich nad „Słownikiem starożytności słowiańskich".

TRADYCJA KULTURY EUROPEJSKIEJ

Dział zapowiedzianych przez redakcję artykułów poświęconych szerszym zagadnieniom historyczno-kulturalnym reprezentują dwa świetne essaye. *Jan Parandowski* wystąpił ze szkicem pt. *„Sława i nieśmiertelność"* (jako problem literatury) prowadząc nas w tłum niezapomnianych pisarzy i niezapomnianych książek. *Przemysław Mroczkowski* w rozprawie pt. *„Dwa oblicza humanizmu Tomasza More'a"* kreśli sylwetkę tego świętego, który dziś wzbudza tak wielkie zainteresowanie, na tle renesansowego humanizmu. Daliśmy tytuł: „Tradycja kultury europejskiej..." Nie jest przypadkiem, że te piękne essaye tu się znalazły. Ta tradycja to właśnie jedno z wielkich dóbr, jakich bronimy przed groźbą wojny.

Jednocześnie pismo drukuje obszerny list przysłany z Ameryki przez osobę z ową redakcji, który rzuca wiele światła na smutny poziom kultury w USA.

Wspomnieć trzeba również o artykule pióra *Aleksandra Rogalskiego* poświęconym Emanuelowi Mounier i stworzonemu przez niego wielkiemu dziełu intelektualnemu. W sumie — start bardzo udany, dobrze osadzony w aktualnej problematyce. Czekamy, co przyniosą dalsze numery... *Z. K.*

Bruce Marshall

Lekcja łaciny

(Rozdział IX z powieści „George Brown's Schooldays")

W dziesięć minut później sam dyrektor w czarnej sutannie, wydętej z tyłu jak turniura, przebiegł na łeb na szyję przez czworo kątny dziedziniec, aby odbyć w III klasie lekcję łaciny. Wesoły, o wyglądzie cherubina, gładko wygolony, pędził przez zakurzone deski do katedry, z której dokonał energicznego przeglądu pozbawionych entuzjazmu twarzy, wykwitających z szerokich białych obramowań etońskich kołnierzy.

„W tym okresie będziemy czytać razem VI księgę Eneidy" — zaczął otwierając z trzaskiem mały, blado-niebieski podręcznik i dając ujście wielkiej kaskadzie dźwięków przed szeregami twarzy patrzących z obawą na niego. — „Sic fatur lacrimans, classique inmittit habenas, et tandem Euboi cis Cumarum adlabitur oris". Teraz musimy pamiętać (bo czyż nie musimy?), że jednym sposobem wyrażenia poezji jednego języka jest poezja drugiego języka. Musimy przeto unikać banałów dziennikarskich i wyszukiwać subtelne niecodzienne słowa. „Sic fatur lacrimans". Tu mamy wszelkie powody sądzić, że Wirgiliusz popełnił plagiat, albo jak nas może bierze pokusa powiedzieć, ściągnął z „Iliady" Homera, w której niektórzy z was będą może mieli przyjemność przeczytać kiedyś z panem Rumboldem: „hós phato dákru cheon" „Sic", „tak" „fatur", „mówi", „lacrimans", „płacząc". A czy może któryś z chłopców powiedzieć mi pierwszą osobę liczby pojedyńczej czasu teraźniejszego trybu oznajmującego czasownika „fatur::? „Fo"? Fee, fi, fo, fum. Henson, Henson, sprowadzasz łzy do moich oczu, a wstyd do duszy. Po tylu latach nauki łaciny Henson? Po trzech latach uczenia się łaciny stoisz tu taj, jak owca w zagrodzie, jak byk w oborze, mój drogi Hensonie, i mówisz mi, że pierwsza osoba liczby pojedyńczej czasu teraźniejszego trybu oznajmującego czasownika wyraźnie należącego do deponensów jest „fo". Mój biedny Hensonie, tak czarujący a tak głupi! Bo czyż pierwsza osoba czasu teraźniejszego trybu oznajmującego, którego trzecia osoba liczby pojedyńczej jest „fatur" nie powinna brzmieć normalnie „for"? Ale tu jest pułapka, Hensonie, zasadzka na nieostrożnych, wilczy dół na głuptasów, ponieważ „fatur" jest to trzecia osoba liczby pojedyńczej czasu teraźniejszego trybu oznajmującego od czasownika „fari, fatus sum", który nie posiada wszystkich form gramatycznych, mój drogi Hensonie, czasownika, który nie ma pierwszej osoby liczby pojedyńczej czasu teraźniejszego trybu oznajmującego. Drżę na myśl, Hensonie, jak zasmuciłby się twój drogi ojciec, gdyby wiedział, że jego syn jeszcze żyje w poniżającej i karygodnej nieświadomości faktu, że „fari" jest czasownikiem nie posiadającym wszystkich form gramatycznych. Być może to ta wstrętna brylantyna, którą smarujesz włosy, to ten obrzydliwy tłuszcz, którym pacykujesz łepetynę, przeszkadza słodkiej wiedzy przesiąknąć do twej czaszki. Fiołki!—oświadczam, że pachniesz fiołkami, Hensonie. Hazel, proszę cię, otwórz okno, abyśmy mogli nie wąchać dłużej zapachu fiołków, płynącego od Hensona. „Sic fatur lacrimams". „Tak mówi płacząc". Czas teraźniejszy historyczny oczywiście. „...Classique inmittit habenas", „...i zwalnia cugle floty". „I uwalnia flotę z więzów". „...et tandem Euboicis Cumarum adlabitur oris". Zwróćcie uwagę, jak zestawienie sylab oddaje dźwięk, jaki wydają okręty, prześlizgujące się do wybrzeży. Czy może któryś z chłopców mi powiedzieć, jak nazywamy takie zestawienie sylab? Penthwick? Maple? A Abinger? — Onomatopeja. Jak dziwne, że chłopiec, który szydzi ze Stwórcy na jutrzniach może być tak inteligentny. „Obvertunt pelago proras". Może ty przetłumaczysz dalej.

Bruiser, wciśnięty w jedną z ostatnich ławek, wytrwale nie uważał. Trzymając na kolanach wydaną na kontynencie powieść p.t. „Byk w burdelu", wybałuszył oczy w posępnym zamyśleniu, podczas gdy Abinger i dyrektor maglowali dalej Wergiliusza, zegar tykał, a pobożny Eneasz okrężnymi drogami podążał przez Morze Egejskie.

— „Daedalus, ut fama est, fugiens Minoia regna"... „Dyrektor ciskał błyskotliwe kule dźwięków ku pobrudzonemu sufitowi i podchwytywał je znów, gdy opadły. „Daudelaus", „Dedal", „ut", „jak", „fama"... Zatrzymał się, gdy jego błądzące po klasie oczy spoczęły na Bruiserze — „Fama", Winkman, „fama"?

Bruiser podniósł się wolno. Przez chwilę robił wrażenie rozgniewanego i zakłopotanego. Potem olśnienie odmalowało się wyraźnie na jego twarzy.

Farmer, proszę Ojca Dyrektora, — powiedział, — Agricola, oczywiście.

„Winkman, Winkman" — grzmiący ton wymówki dyrektora zgromił i uprzedził wybuch rozwesolonego wycia. „Winkman, weselonego wycia. „Winkman, nie z angielskiego na łacinę. Prosiłem Cię, zebyś przetłumaczył słowo „fama". Pomyśl chłopcze, pomyśl. Niech myśl przłamie się przez twe potężne muskuły i łagodnie zrosi glebę refleksji. Zatem, Winkman, co znaczy „fama"? Nie, Winkman, nie próbuj się pytać sąsiada. To się na nic nie przyda. Patrzę na ciebie, Winkmanie, oko moje na tobie spoczywa i pragnę, byś mi powiedział, co znaczy „fama".

Hen, pod skórą, schowane głęboko za zwojami zardzewiałego drutu, koła świadomości Bruisera obróciły się, zahuczały, zawarkotały, zwolniły i wróciły z powrotem do właściwego im stanu nieruchomości.

Więc, Winkman, czekam.

Proszę Ojca Dyrektora, — nie wiem, Ojcze Dyrektorze.

Nie wiesz, Winkman, ty nie wiesz? Po trzech latach nauki łaciny nie wiesz? Po trzech latach, w ciągu których siedziałeś przylepiony jak skorupiak do ostatniej ławki w tej samej klasie, ty nie wiesz, co znaczy „fama". Winkmanie, Winkmanie, jak smutna jest twoja dola, jak bolesną twoja udręka. Ponieważ bitwa pod Waterloo została wygrana nie tylko na boiskach Etonu, ale również w salach szkolnych przez ludzi, którzy nie tylko umieli grać w palanta, ale wiedzieli także, co znaczy „fama". Powiedzcie mu, niech mu ktoś powie. Tak, Winkman, „fama" znaczy „wieść", „pogłoska", „rozgłos", „opowieść" i „magna est ira magistri", że mogłeś tego nie wiedzieć.

— Tak, proszę Ojca Dyrektora, dziękuję Ojcu Dyrektorowi.

— Winkman, co znaczy „magna est ira magistri"?

Raz jeszcze Bruiser stał jak ogłuszony. Toczył wokół oczami i wreszcie uspokoił się. Zerknął w dół na powieść, którą wsunął do połowy pod ławkę.

„Wielki jest magistrat w Iranie" — powiedział wreszcie — a uśmiech niemal serafińskiej piękności rozjaśnił całą jego twarz. — Tak, panie dyrektorze, właśnie tak. Magistrat w Iranie jest wielki.

Tłum. Andrea Tonchu Ru.

Już ukazała się w sprzedaży
powieść
GEORGES BERNANOS
PAMIĘTNIK WIEJSKIEGO PROBOSZCZA
nakładem sp. wydawniczej „PAX"
Cena 900 złotych
Skład główny „Veritas"
W-wa Nowokrucza róg Widok

Na półkach księgarskich

Kardynał Mercier

Księgarnia św. Jacka w Katowicach wydała ub. roku życiorys kardynała Mercier *), opracowany przez siostrę Marię Leonię, Niepokalankę. Przyznać trzeba, że książka ta była d' dawna potrzebna. Społeczeństwo katolickie w Polsce powinno poznać postać wielkiego kardynała belgijskiego, który należy do najwybitniejszych postaci nie tylko Kościoła, ale i całego chrześcijańskiego świata wśród współczesnych sobie. Paderewski nazwał go „promiennym światłem chrześcijańskiej ludzkości".

Kardynał Mercier, piąty z dziewięciorga dzieci zubożałych ziemian belgijskich, doszedł do najwyższych godności kościelnych, osiągnął jeszcze za życia wielką sławę na całym świecie, odbierał wszędzie hołdy, nie miał wrogów, nawet wśród ideowych przeciwników, cieszył się niezwykłym szacunkiem. Pod tym względem jest on więc prawie bezprzykładny. Co ciekawsze, to powodzenie ani na chwilę nie zamąciło mu w głowie. Wśród przepychu, jaki otacza prymasa, we wspaniałym pałacu, wśród uwielbień świata, pozostał ubogim, pokornym, umartwionym, prawym biskupem na wzór świętego Ambrożego.

Przypomina on tego biskupa również nauką. Kardynał Mercier jest właściwym, rzeczywistym twórcą współczesnego tomizmu. Przez całe życie był filozofem tomistycznym, który usiłował wykazać zgodność syntezy scholastycznej z postępami najnowszej nauki. Jego wykłady i dzieła stworzyły cały wielki ruch neotomistyczny, zapłodniły i wzbudziły wielu świetnych pisarzy tomistycznych, jacy potem zasłynęli. On to wywalczył z powrotem dla tomizmu szacunek i uznanie, utracone w ciągu wieków. Pod tym względem jest on szczególnie zasłużony.

Jako mąż stanu, który w okresie zalewu Belgii przez Niemców w roku 1914 przeciwstawił się wyraźnie wrogowi i nieustannie protestował przeciw gwałtom i nadużyciom, pobudzając Belgów do oporu i wytrwania i budząc listami pasterskimi otuchę i nadzieję w całym narodzie, kardynał Mercierg wzbudził zachwyt całego świata. Największą jednak, moim zdaniem, zasługą jego było zapoczątkowanie czystego ruchu liturgicznego, jeszcze przed rozszerzeniem się działalności benedyktynów z Solemes, zaraz po ukazaniu się breve papieża Piusa X na ten temat. On pierwszy z biskupów zaczął popierać i szerzyć nawrót do śpiewu gregoriańskiego w liturgicznych nabożeństwach. Po tym najlepiej można poznać jego wczuwanie się w potrzeby najbardziej wewnętrznego ducha Kościoła. Mimo intelektualizmu tomistycznego, pozostał zawsze pełnym ognia, zapału, serdeczności i życia. Osobistą świętość, która właśnie zachwycała świat i była przyczyną jego wielkości, czerpał on bowiem bezpośrednio od Chrystusa, Któremu się oddał bez reszty.

Książka jest niezła, jako ogólna informacja. Gdy jednak chodzi o jednostki wyjątkowe, to chciałoby się lepszego, żywszego opracowania. Chciałoby się widzieć ich indywidualność, schwytaną na gorąco. Sądzę, że anegdoty więcej nam dają poznać wielkie osoby, niż wyliczenie ich dzieł, czy suche opowiadanie o ich przymiotach. Kardynał Mercier był dobry, mądry, miły, świętobliwy. W to każdy chętnie wierzy. Ale za mało jest konkretnych przykładów tych zalet. Oczywiście, książka wskutek tego byłaby większa. Ale książka o ciekawej jednostce powinna być duża, szczegółowa, konkretna, bo przez to pouczа i pobudza do naśladowania.

W dodatku, jeśli się pisze o filozofie, to należy również napisać o jego filozofii. Nasza publiczność czytająca — za mało wie o przyjaciółce mądrości i przez to często z niej szydzi. Nie jest to rzecz trudna. Przy dobrej woli można prosto i jasno przedstawić najtrudniejsze zagadnienia. Tymczasem w książce o twórcy nowoczesnego tomizmu nic z tego nie znajdujemy. Autorka nawet zdradza się czasem ze słabym oczytaniem i znajomością filozofii. Tak np. Kartezjusza nazywa spirytualistą, a Kanta materialistą, gdy takie nazwy zgoła do tych filozofów nie pasują. Kant był idealistą, czyli kimś wprost sprzecznym z materializmem, a nazwa spirytualisty wobec Kartezjusz jest również bałamutną, bo był on również racjonalistycznym idealistą, o dążnościach monistycznych.

Stosunkowo najlepiej przedstawione jest życie wewnętrzne kardynała i jego postawa wobec Niemców, bo mamy tutaj trochę konkretnej dokumentacji. W całości jednak książka jest blada i powierzchowna wskutek właśnie ogólnikowości. Książki o ludziach żywych, czynnych, oryginalnych, powinny być żywe i oryginalne, jak ich bohaterowie. Sądzę, że jest to ważny postulat pod adresem ewentualnych przyszłych biografów.

Z. J.

*) Ks. Św. Jacka w Katowicach 1949. S. Maria Leonia. Niepokalanka, „Kardynał Mercier".

Uroki dzieciństwa

Właściwie pisać dziś o pięknej książce Lwa Tołstoja*) jest grubą recenzencką nieprzyzwoitością, ukazała się ona bowiem na rynku księgarskim cztery lata temu. Jeśli już jednak popełniam ten nietakt, to jedynie dlatego, że przy próbie ogólnego ujęcia powojennych wydawnictw młodzieżowych „Dzieciństwo" żadną miarą nie może być pominięte.

„Czy wróci jeszcze kiedyś ta świeżość, beztroska, potrzeba miłości i siła wiary, którą miałem w dzieciństwie? Jakiż może być lepszy okres życia od tego, w którym dwie największe cnoty — niewinna wesołość i bezgraniczna potrzeba miłości — były jedynymi instynktami. Gdzie te gorące modlitwy? gdzie najpiękniejszy dar — czyste łzy zachwytu? Nadlatywał anioł — pocieszyciel, z uśmiechem ocierał te łzy i niezepsutej dziecięcej wyobraźni podsuwał słodkie marzenia. Czyżby życie zostawiło tak głębokie ślady w moim sercu, że na wieki odeszły ode mnie łzy i zachwyty? Czyżby zostały tylko wspomnienia?"

Przytoczone powyżej słowa Tołstoja najlepiej może oddają sens jego książki. Założeniem jej jest ukazanie uroków i nastrojów dzieciństwa, ukazanie typów i indywidualności dziecięcych. „Dzieciństwo" ma wykazać owe najszlachetniejsze cnoty pierwszych lat ludzkiego istnienia.

Lew Tołstoj i tym razem wyszedł zwycięsko z olbrzymiego artystycznego zadania. „Dzieciństwo" — to nie tylko wzruszające wspomnienie dawnych, najmłodszych lat wielkiego rosyjskiego klasyka, — to także wspaniałe studium dziecięcej duszy, to świetna analiza owego dziwnego „nastroju dzieciństwa", którego oddanie jest niezwykłym artystycznym osiągnięciem, jakich mało w literaturze światowej. Osobiście skłonny byłbym zestawić z „Dzieciństwem" bodaj czy nie tylko tomik wierszy angielskiego pisarza Roberta Ludwika Stevensona: „A Child's Garden of Verses".

Istota ogromnego zwycięstwa artystycznego Tołstoja polega na całkowitym niemal usunięciu z „Dzieciństwa" tak szkodliwego sentymentalizmu. Temat bowiem, jakiego podjął się Tołstoj, należy do częściej w literaturze spotykanych, ale przeważnie doszczętnie niweczonych przez t. zw. „łezkę" i karmelkowatość. „Dzieciństwo" Tołstoja — to właśnie zwycięstwo nad tym uprzykrzonym „samograjem", to rzetelny i prawdziwy, a więc nie wolny od momentów tragizmu, obraz wieku „sielskiego, anielskiego". Najlepiej może ujęty jest pierwiastek owej „dziwności życia", tak charakterystyczny dla tego wieku: na kartach książki ukazuje się np. postać „nawiedzonego Griszy", rozumowo niedostatecznie umotywowana, ale pasjonująca, gdy się ją ogląda dziecięcymi oczyma przez szparę w komórce: „Grisza był nieruchomy (po długich modłach, przyp. mój); z jego piersi wydobywały się ciężkie westchnienia; w zamglonej źrenicy jego zezowatego oka, oświetlonego księżycem, zatrzymała się łza. — Niech się dzieje wola Twoja! — wykrzyknął nagle z prawdziwą żarliwością, przypadł czołem do ziemi i zaszlochał jak dziecko. Dużo wody upłynęło od tej pory, wiele wspomnień o tym, co było, straciło dla mnie znaczenie i stało się tylko mgliстą myślą, nawet Grisza-włóczęga dawno już zakończył swoją ziemską wędrówkę, lecz wrażenie, które wówczas na mnie wywarł, i uczucie, jakie we mnie wzbudził, nigdy nie znikną z mojej pamięci. Griszo, wielki chrześcijaninie! Twoja wiara była tak mocna, że odczuwałeś bliskość Boga; twoja miłość — tak wielka, że słowa same płynęły z twoich ust — nie sprawdzałeś ich rozsądkiem... Jakąż wysoką chwałę przyniosłeś Jego wielkości, gdy nie znajdując słów, we łzach zwaliłeś się na ziemię!"

Takich niezapomnianych postaci jest w książce Tołstoja więcej. Każda właściwie jego postać, niekiedy nawet, zdawałoby się, konwencjonalna (stara, wierna sługa), jest jakimś przeżyciem dla czytelnika, ukazuje mu się w sposób nowy, „nie po dorosłemu" sugestywny, przede wszystkim zaś niezapomniane są postaci dzieci. I to jest właśnie olbrzymim zwycięstwem pisarza.

Przekład Pawła Hertza bez zarzutu; bardzo trafnie oddaje charakter dzieła o „urokach dzieciństwa".

W. R.

*) Lew Tołstoj: „Dzieciństwo". Przełożył Paweł Hertz. Biblioteczka Młodego Czytelnika, przekłady z literatur obcych nr 2. „Czytelnik" 1946, str. 156.

„Hordubal" Karola Čapka

Po przeczytaniu książki Karola Capka*) przychodzi na myśl „Niespodzianka" Rostworowskiego, ponieważ obserwujemy podobny dramat na wsi: morderstwo dokonane na członku rodziny powracającym z Ameryki. Pomijając jednak zasadnicze różnice treściowe jakąż różnicę znajdujemy w umiejętności podejścia do tematu!

U podstawy powieści Capka leży grube nieprawdopodobieństwo i to w znacznej mierze osłabia efekt artystyczny i autorytatywność myśli przewodniej utworu.

Oto stary gospodarz czeski Juraj Hordubal powraca do domu po 8 latach emigracji i zastaje wzorowo prowadzone gospodarstwo, na którym pracują wspólnie przez 5 lat: jego żona Polana z młodym, przystojnym parobkiem Szczepanem Many'ą. Sytuacja prawdopodobna i często spotykana. Ale gdy Hordubal zauważając, że żona wita go niemal z przerażeniem, że rozrywa przez swój powrót zżytą parę i narusza ustalony w ciągu tych lat porządek — nie może wyciągnąć z tych obserwacji prostego wniosku lub chociażby hipotezy, że Polana i Szczepan stanowią jednak wspólnotę małżeńską — to jest nawet wewnątrz rzeczywistości omawianego utworu nieprawdopodobne. Gdy zwraca mu na to uwagę wójt, jest to dla Hordubala „ciosem" itp. — i na przekór ingerencji wsi jedzie do miasta aby zapisać cały swój majątek Polanie za „wierność małżeńską".

Hordubal nie rozwiązuje zaraz po przyjeździe kłopotliwej i niebezpiecznej sytuacji stworzonej przez swój powrót i to go gubi, zostaje bowiem zamordowany przez Many'ę działającego w porozumieniu z Polaną. Książka kończy się rozprawą sądową, która udowadnia sprawcom dokonanie zbrodni.

Szkoda, że autor uzależnił postępowanie Hordubala, jego „nieinterwencję" w zastane stosunki rodzinne głównie od jego „niedomyślności" (!), w przeciwnym bowiem razie książka jego byłaby świetnym i jednolitym studium nad zgubnymi skutkami słabej woli człowieka i jego uchylanie się od zajęcia bezkompromisowego stanowiska w decydujących sytuacjach. Gdyby Hordubal tego samego dnia rozwiązał niebezpieczny trójkąt małżeński, nie dopuściłby swoją zdecydowaną postawą nawet do zaistnienia zbrodniczych planów.

Mimo głównego zarzutu postać Hordubala została narysowana ciekawie: typ wiejskiego uczuciowca o słabym charakterze, przeżywającego emocjonalnie otaczającą rzeczywistość. Stanowi ona wkład w olbrzymią galerię literatury tzw. „niepotrzebnych ludzi".

Większa część książki stanowi oryginalny notatnik myśli i uczuć bohatera, część druga i trzecia — słabsze artystycznie — zawierają opis śledztwa i rozprawy sądowej. W sumie: „Hordubal" jest ciekawą powieścią, zmusza do dyskusji, należy jednak do mniej udanych powieści czeskiego pisarza.

I. K.

*) Wiedza, 1948 r., str. 146.

„Bobik od Franciszkanów"

Gdy po 10 latach otwieram tę prześliczną książkę*) zauważam ze zdziwieniem, że obecnie odnajduję w niej jeszcze więcej uroku i piękna, niż wówczas, gdy byłem w t. zw. właściwym wieku do jej przeczytania. Prawdziwe osiągnięcie artystyczne zachowuje swą zdolność ekspresji nawet wówczas, gdy rzekomo mija się z adresem odbiorcy. „Bobik od Franciszkanów" jest książką dla dzieci od 9 do 99 lat, dla wszystkich, którzy zachowali świeżość odczucia i wrażliwość na najprostszy nawet przejaw piękna, dla wszystkich o bezpośrednim stosunku do świata.

Z punktu widzenia czytelnika 10 — 12-letniego jest to lektura głęboko wychowawcza i interesująca. Narzuca swój specyficzny urok i kształci poczucie estetycznej wartości utworu beletrystycznego.

Oto akcja. W stolicy Szkocji — Edynburgu zdarzył się dziwny wypadek zachowany w pamięci mieszkańców. Otóż mały piesek, terrier skajski przywiązał się do pastucha trzód z podmiejskiej fermy — starego Jaśka i stał się jego wiernym obrońcą i towarzyszem. Szedł z nim na wrzosowiska i łąki, a powracał późnym wieczorem z owcami. Lecz pewnego dnia stary Jaśko przeziębił się na polach i nie mógł już wyjść ze swej izdebki w mieście. Tam też umarł — samotny i nikomu nie potrzebny. Bobik jednak nie opuścił swego pana. Mimo gniewu grabarzy podąża za skromnym konduktem na cmentarz franciszkański i pozostaje na jego mogile. Grozi mu wiele niebezpieczeństw ze strony stróżów porządku — ale wreszcie tworzy się „koalicja" biednych dzieci mieszkających koło cmentarza, które ochraniają niezwykłego psa. Zostaje w końcu wzięty pod opiekę burmistrza. Tryb jego zwierzęcego życia pozostaje jednak ten sam. W ciągu dnia biega z dziećmi po bezkresnych wrzosowiskach podmiejskich, odprowadza nawet defilady wojskowe — ale na wieczór, mimo deszczu, śniegu, czy mrozu powraca na grób swego pana. Wreszcie gdy zdechł otrzymał nagrodę za swą wierność w postaci pomnika.

Autor mówiąc o zwierzęciu porusza sprawy ludzkie, przedstawia za jego pośrednictwem jak w bajce (chociaż pozbawionej satyry) te dwie główne cnoty: miłosierdzia i wierności. W książce jego panuje spokój wewnętrzny jaki dać może tylko oparcie się o religię. Oto charakterystyczne słowa dla dyskretnej ideologii „Bobika od Franciszkanów" i jego „klimatu".

— Jaki to zaszczyt dla biednego Jaśka leżeć na cmentarzu franciszkańskim — rzekł grabarz.

— A jaki to zaszczyt dla człowieka dostać się do Nieba — odpowiedziała mu żona.

I. Z.

*) „Bobik od Franciszkanów" E. Athinson, Warszawa 1948.

„Z czego? jak? i po co?"*)

Autor znający świetnie psychikę dziecka uwzględnia i wyczuwa jego zainteresowania. Wie, że młodego czytelnika fascynują barwne opisy dalekich podróży, egzotycznych krajów, a często książki mówiące o nowych wynalazkach, o Edisonie, Pasteur'ze — bo to jest ciekawe, nieznane. Tymczasem, „nie domyślamy się, że dwa kroki od nas, a nawet i bliżej leży nieznany, zdumiewający zagadkowy kraj, który nazywa się n a s z e m i e s z k a n i e". M. Iljin stosuje zręczny chwyt, pozwalający na wzbudzenie zainteresowania w młodym czytelniku — bierze go bowiem w na pozór dobrze znaną podróż, podzieloną na następujące etapy: wodociąg, piec, stół i piec kuchenny, półka z rondlami, kredens, szafa. Okazuje się jednak w trakcie podróży, że każdy niemal napotykany przedmiot w mieszkaniu przedmiot codziennego użytku ma swoją interesującą historię. Warto więc dowiedzieć się, z czego jest zrobiony, jak i po co. Zasługą autora jest umiejętne wydobycie z przedmiotów pozornie szarych codziennych, ich odmienności oraz ukazanie ich od strony najciekawszej. Konsekwencją tego jest wzbudzenie w czytelniku chęci zapoznania się z otaczającymi go przedmiotami codziennego użytku. Tekst uzupełniają 54 ilustracje Jana Gotry. Tłumaczenie z rosyjskiego przez Zofię Warszawską — poprawne.

R. A. W.

*) *M. Ilijn: „Sto tysięcy dlaczego" — 54 ilustracje Jana Gotry. Str. 112. Czytelnik 1949 r.*

TYDZIEŃ KULTURALNY

KRONIKA

ZJAZD KOMPOZYTORÓW

W dniach 16 — 19 czerwca, toczyły się w Warszawie obrady V Walnego Zgromadzenia członków Związku Kompozytorów Polskich. W skład Związku prócz 80 kompozytorów wchodzi ponadto 16 muzykologów oraz 15 studentów. Przewodniczącym Zjazdu był prof. Bolesław Woytowicz. Zjazd prócz zatwierdzenia pracy organizacyjnej Związku, gros czasu poświęcił zagadnieniem kierunku ideologicznego. Prezes b. zarządu Zygmunt Mycielski w swym zasadniczym referacie oświadczył, iż Związek musi stać się kuźnią ideologii muzycznej, stworzyć szkołę polskiej muzyki pełnej szczerości i optymizmu, śpiewności i jasności tematycznej, musi dopomóc twórcom - kompozytorom w przetworzeniu polskiej sztuki muzycznej na sztukę czysto realistyczną, musi wzorem — Chopina i Moniuszki — związać twórczość z podłożem kultury ludowej i potrzebami najszerszych warstw naszego narodu. Wokół tak sprecyzowanych zadań rozwinęła się ożywiona dyskusja, która ujawniła szereg rozmaitych stanowisk.

Naszym zdaniem — punkt ciężkości wszelkich trudności powstałych na obecnym etapie rozwoju polskiej muzyki polega na trudnościach w dokładnym ustaleniu terminu „realizm" i „realizm socjalistyczny", w sztukach zasadniczo nie tematycznych, lecz formalnych, jak muzyka czy — również — architektura. Sprawa stosunkowo prosta w literaturze, gmatwa się w muzyce.

Podczas Zjazdu przemawiał min. Sokorski, stwierdzając, iż nie sposób wyzwolić się z formalizmu w muzyce, bez oparcia się o główne zasady twórcze klasyków: melodyczność, tematyczność, ludowość. Zdaniem Tichona Chrennikowa, sekretarza generalnego Zw. Kompozytorów Radzieckich, który był gościem zjazdu i wygłosił duże przemówienie — twórczość muzyczna przeznaczona dla ludu winna opierać się, jak u klasyków na elementach ludowych.

A więc czy wniosek: że realizm w muzyce, to właściwie ludowość — byłby słuszny?

Do nowego zarządu Związku Kompozytorów Polskich weszli: W. Rudziński — prezes, G. Bacewiczówna, Z. Lissa, T. Szeligowski, A. Panufnik, F. Kulczycki, J. Maklakiewicz, St. Wiechowicz, K. Serocki, B. Woytowicz, T. Baird, W. Klechnikowska.

ZJAZD LITERATÓW

24 czerwca rozpoczął się doroczny Walny Zjazd Związku Literatów Polskich, po raz pierwszy po wojnie w Warszawie, w własnym Domu Literatury na Krakowskim Przedmieściu. W przeddzień Zjazdu ukazał się nowy numer miesięcznika „Twórczość", przejętego od czerwca br. przez Zarząd Główny Związku Literatów Polskich, jako organ Związku. Redaktorem naczelnym „Twórczości" został Adam Ważyk, przedstawicielami redakcji zostali: na Kraków — Kazimierz Wyka, na Wrocław — Jan Kott. Pierwszy „warszawski" numer pisma zawiera materiał bardzo bogaty: oryginalną prozę Iwaszkiewicza, Borowskiego, Wygodzkiego, Borejszy, Kowalewskiego Mirosława, artykuły Zółkiewskiego, Wyki, Szczepańskiego, Osmańczyka, Matuszewskiego, wiersze oryginalne i przeklady

„Dziś i Jutro" zamieści ze Zjazdu oddzielne sprawozdanie.

NAGRODY NAUKOWE PAU.

Walne Zgromadzenie Polskiej Akademii Umiejętności w dniu 16 bm. przyznało następujące nagrody naukowe:

Na Wydziale Filologicznym — prof. dr Witoldowi Doroszewskiemu za dzieło pt. „Język Teodora Tomasza Jeża", prof. dr Stanisławowi Rospondowi za dzieło pt. „Studia nad językiem kopskim 16 wieku".

Na Wydziale Historyczno - Filozoficznym — śp. Prof. Janowi Rutkowskiemu — za dzieło pt. „Historia gospodarcza Polski", tom 2-gi, czasy porozbiorowe.

Na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym — prof. dr Hugonowi Steinhausowi za dzieło w jęz. angielskim pt. „Elementarny Inequilities Between the Expected Values of Currantestimates of Variance".

Na Wydziale Lekarskim — dr Janowi Kosakowskiemu za dzieło pt. „Wskazania do zabiegów chirurgicznych u noworodków i niemowląt", prof. dr Edmundowi Mikulaszkowi za dzieło pt. „Zasady imunochemii"

Na uroczystym posiedzeniu została odczytana lista nowych członków, którymi zostali: prof. K. Kumaniecki, prof. J. Gwiazdomorski, prof. O. Lange, prof. Z. Lisowski, prof. K. Piwarski, prof. R. Taubenschlag, prof. W. Vetulani, prof. Z. Grodziński, prof. A. Januszkiewicz, prof. T. Marchlewski, prof. J. Miodoński, prof. T. Tempka.

Członkami — korespondentami zostali: prof. J. Berger, prof. T. Dobrowolski, prof. Z. Szweykowski, prof. W. Czapliński, prof. K. Maleczyński, W. Pociecha, prof. S. Zaleski, prof. J. Dembowski, doc. W. Kemula, prof. T. Urbański, prof. A. Dobrzański, prof. K. Jonscher, prof. W. Kuryłowicz, prof. S. Legeżyński, prof. E. Sym.

III FESTIWAL PLASTYKI.

W pawilonach Międzynarodowych Targów Gdańskich w Sopocie, otworzono III Festiwal Plastyki. Obejmuje on: prace wybrane z ogólnopolskiej wystawy plastycznej, wystawę „Piotr Michałowski", węgierskiej grafiki i drobnej plastyki, pokaz ceramiki, pochodzącej z trzech ośrodków kultury antycznej, z Egiptu, Grecji, Italii oraz ceramikę średniowieczną i nowożytną.

Duże zainteresowanie zwiedzających budzi specjalny pokaz ilustrujący drogę dzieła artystycznego od pierwszych szkiców do ostatecznie wykończonej całości.

W Warszawie, w salonie „Nike" na Marszałkowskiej, urządzono wystawę prac znakomitego amatora - górnika Teofila Ociepki. Wspaniałe, pełne niezwykłej fantazji ludowej i świetnych kolorów, prymitywy Ociepki — nazywanego polskim Celnikiem — Rousseau — cieszyły się ogromnym zainteresowaniem znawców i laików. Przed witryną na Marszałkowskiej stał zawsze tłumek ludzi, przez szybę oglądając obrazy Ociepki; liczba osób, jakie wiedzą, że do salonu - sklepu „Nike" wejść można jak na wystawę jest niestety znikoma, a przecież taki salon - sklep odegrać może kolosalną rolę kulturalną.

DNI KRAKOWA.

Wielki koncert na Rynku zainaugurował doroczne „Dni Krakowa". Wystawy, imprezy teatralne, muzyczne itp. — są i w tym roku atrakcją sprowadzającą na „Dni Krakowa" wielu turystów i gości. Otwarto obecnie wystawę sztuki ludowej oraz wystawę p.n. „Czerwony Kraków", poświęconą demokratycznym i rewolucyjnym tradycjom podwawelskiego grodu.

ŚLĄSK O SOBIE — I SOBIE

Wilhelm Szewczyk, Aleksander Baumgarten, Maria Błachutowa, Jan Brzoza, Andrzej Wydrzyński — więc niemal wszyscy literaci mieszkający w Katowicach — zdobyli nagrody w konkursie na literacki reportaż ze Śląska. Nagrodę II (I nie przydzielono) uzyskał Szewczyk. Poza konkursem nagrodzony został Gustaw Morcinek. Konkurs na powyższy reportaż rozesłany był niemal konspiracyjnie — nikt poza pisarzami śląskimi nie został zaproszony do wzięcia w nim udziału.

Studium przekładowe Penclubu

Zagadnienie „Teorii i praktyki tłumacza" było przedmiotem prelekcji S. Pollaka wygłoszonej w ramach Studium Przekładowego Penclubu.

Prelegent zobrazował zagadnienie powyższe przede wszystkim na podstawie przekładów utworów poetyckich rosyjskiej literatury, kładąc główny nacisk i uwypuklając funkcje społeczne przekładu i społeczną rolę tłumacza.

Jednym z zasadniczych obowiązków i zadań tłumacza jest zdanie sobie sprawy i uporządkowanie hierarchiczne elementów utworu. W związku z hierarchią mówimy o przekładzie wiernym, swobodnym, mniej lub więcej dowolnym, o transpozycji. Tłumacz, który chciałby bezpośrednio, dosłownie przenosić treść utworu, tworzyłby dziwolągi. Prelegent przytacza zdanie Tuwima: przekład powinien wskazywać tę samą godzinę co oryginał. Jako niezbędne dla przekładu elementy uważa prelegent: wierne oddanie właściwego autorowi obrazowania i słownictwa, w dalszej hierarchii trafne ujęcie rytmiki i rymowania. Krytyka radziecka żąda przekładu adekwatnego. Smirnow domaga się, aby wszystkie zamierzenia autora zachowane były w przekładzie w pełnym ekwiwalencie, jednak na pierwszy plan wysuwa postulat ideologicznej wierności, po nim dopiero właściwe oddanie kolorytu, stylu, rymowania i rytmiki, które tłumacz powinien traktować nie jako cel, ale środki do osiągnięcia pełni artystycznej formy. Wysuwa się tu zagadnienie, spotykane często w praktyce, że zbyt formalistyczne podejście do utworu, powoduje zmiany ideologiczne. Poszukiwanie rymu czy specjalnej rytmiki sprowadza przekształcenie i wypaczenie utworu. Prelegent cytuje opinię Ważyka, który zarzuca tłumaczom poetyckich utworów, że najpierw poszukują rymu, a potem kształtują treść. Rym więc ciąży w wielu tłumaczeniach na treści.

Stosunek tłumacza do obranego przez niego utworu wyznacza często jego postawę ideową. Także dobór synonimów i elementów formy charakteryzuje go i może powodować odchylenia od oryginału. Jako najpoważniejsze błędy tłumacza wymienia prelegent: niewżycie się w epokę, nieznajomość historii i realiów, niezrozumienie myśli i intencji autora. Także nadmierne przestylizowanie zmienia charakter oryginału.

Zbyt swobodna, dowolna zmiana atmosfery, sprowadza przeinaczenia, które wyznaczają często klasową postawę tłumacza i robią z niego reprezentanta własnego jego środowiska klasowego i aktualnych prądów. Dobór utworów tłumaczonych odkrywa również ideologiczną postawę tłumacza. Każda epoka posiada właściwy sobie styl i wytwarza swoistych tłumaczy. Przekład obcych utworów jest obrazowaniem panujących współcześnie prądów lub ich przeciwstawień. Tłumacz — obok doskonałej, najpełniejszej znajomości twórczości autora, musi — zdaniem prelegenta — posiadać także wykształcenie polityczne i znajomość stylu epoki, oraz stosunku autora do środowiska i postawy jego w nim, dla trafnego oddania jego stanowiska ideologicznego.

W dyskusji poruszono zagadnienie, czy i o ile tłumaczenie przeszkadza rozwojowi i ukształtowaniu własnej twórczości, oraz sprawę przekładu książek naukowych jako dziedzinę wymagającą stosowania odmiennych kryteriów i metod pracy.

Na ostatnio odbytym wykładzie Studium Przekładowego Penclubu mówił **Artur Sandauer o sztuce przekładu wiersza.**

Prelegent przypomniał słuchaczom treść swego artykułu, umieszczonego przed paroma laty w „Odrodzeniu", na temat kłopotów tłumacza, który często ma większe do przezwyciężenia trudności niż sam autor. Ten bowiem całą swą uwagę i wysiłek myślowy poświęca treści, tłumacz zaś prócz treści, której wierne oddanie go bezwzględnie obowiązuje, musi kłopotać się formą poetycką i wierszem utworu. Bo treść i forma są tu nierozdzielną całością i obie muszą być w przekładzie w równym stopniu uwzględnione. Praca tłumacza utworu poetyckiego polega na takim przekładzie, aby utwór był nie tyle dobrą kopią, co też nie jest łatwe, ale odtworzeniem utworu z zachowaniem pełnych jego walorów.

Wierność przekładu zmusza tłumacza do rezygnacji z własnych impulsów twórczych na rzecz autora. Tłumacza obowiązuje hierarchia pewnych wartości, odnośnie do formy czy treści ideowej utworu. Powinien stosować metodę kompensacji. Rezygnując z mniej cennych efektów, zastępować je bardziej ważnymi. Obok treści i formy ważną rolę gra uczuciowy wątek utworu.

Przy tłumaczeniu utworów związanych z pewną epoką stylu czy historji, aktualizacja języka wymaga równoczesnej aktualizacji wszelkich realiów. Uwzględnienie stopnia archaizacji zależne jest od epoki powstania utworu.

Prelegent widzi we współczesnych przekładach zbyt jednostronne podchodzenie do traktowania tematu. Problemy techniczne uważa za mniej ważne gdy idzie o możliwie najlepsze oddanie stylu i barwy utworu. Problem kompensacji narzucił się prelegentowi przy przekładzie antycznej poezji. Na podstawie własnych doświadczeń zaleca prelegent przy przekładzie antycznej poezji stosowanie nowoczesnych form poetyki.

Dla zobrazowania swych tez, odczytał prelegent parę utworów Teokryta, własnego przekładu, po czym przerzucił słuchaczy w krańcowe przeciwieństwo antyku, w rewolucyjną poezję Majakowskiego, odczytując i wygłaszając z pamięci jego utwory w przekładzie. Odnośnie do tego tak bardzo nowoczesnego formą, stylem i treścią poety, musi tłumacz stosować zupełnie nowe formy rymowania i wersyfikacji. Ale i przy przekładzie antycznych utworów — zilustrowanych przykładami — można i należy stosować nowoczesne ujęcie i nowe formy. Przerzucenie się od Teokryta do Majakowskiego daje w rezultacie bardzo ciekawe przeżycia estetyczne.

W dyskusji zwrócono uwagę na dwie metody, stosowane w przekładzie. Filiologiczną prof. Doroszewskiego, oraz wyobrażeniową Sandauera, która daje głębsze przeżycie utworu. Podniesiono również palącą potrzebę opracowania słownika specjalnego, uwzględniającego najnowsze, aktualne nowotwory językowe.

Dnia 22 czerwca wygłosił **Michał Rusinek** ostatni wykład Studium Przekładowego Penclubu. Wykład był sprawozdaniem z celów i osiągnięć kursu, także zapowiedzią dalszych zamierzeń Związku Literatów i Penclubu dla podniesienia sztuki przekładów, otoczenia jej właściwym staraniem i dostarczenia tłumaczom pomocy w pracy.

Studium miało charakter eksperymentalny. Celem jego było ożywienie tego ważnego działu literatury, jakim są przekłady, podniesienie tej sztuki przez dostarczenie tłumaczom niezbędnych, zasadniczych wiadomości, także podniesienie ich godności, ich awans literacki, zachęcenie nowych sił i zainteresowanie ich sztuką przekładów. Studium, przewidziane początkowo jako seminarium praktyczne, dla niewielkiej grupy osób zainteresowanych tym rodzajem literackim, rozrosło się nieoczekiwanie, i gromadziło wielką liczbę osób z kół literackich, uniwersyteckich, wydawniczych, zawodowych tłumaczy lub kandydatów do tego zawodu. Zmieniło to początkowo przewidziany charakter kursu i spowodowało uogólnienie i rozszerzenie tematów. Sala kolumnowa Uniwersytetu Warszawskiego, zawsze pełna, wysłuchała cyklu niezmiernie ciekawych, wygłoszonych przez fachowych prelegentów wykładów Jaki jest bilans kursu?

Niewątpliwie kurs dał właściwe naświetlenie roli, znaczenia i godności tłumacza. Obudził jego sumienie. Prelegenci ukazali wielkie, twórcze perspektywy sztuki przekładów, mocno podkreślili wszyscy zgodnie wielką rolę tłumacza i jego odpowiedzialność społeczną. Prelegent mocno zaznaczył wspólnotę duchową twórcy i tłumacza, złączonych wspólnym przeżyciem wizji. Zaznaczył jeszcze raz to, co było hasłem i głównym postulatem wszystkich wykładów: wydobycie przez przekład tożsamości dzieła w treści, stylu, odczuciu i formie.

Drugą część wykładu poświęcił M Rusinek praktycznym informacjom z zakresu prawa i ustawodawstwa autorskiego.

Prezes Penclubu **Jan Parandowski** zaznajomił słuchaczy z programem Związku Literatów i Penclubu zorganizowania w najbliższym czasie praktycznego, fachowego studium dla tłumaczy, poradni dla nich, oraz konkursu na przekłady.

Polskiemu Penclubowi z prezesem **Parandowskim** na czele wyrażono gorące podziękowanie za zorganizowanie tego niezmiernie ciekawego i pożytecznego studium przekładowego.

OFENSYWA BIOPSYCHOLOGII A WIEDZA O LITERATURZE

(Dokończenie ze strony 5-ej)

najoczywistszy, który podważa gruntownie całe dosyć kunsztowne rusztowanie założeń i wniosków prof. Bornsztajna. Np. Goethe, V. Hugo, A. de Musset, A. Puszkin, Z. Krasiński (i wielu innych pisarzy wielkich oraz mniejszych) pisywali wiersze liryczne, powieści oraz utwory dramatyczne. Wielotorowość twórcza, której byli przedstawicielami, uprawiając szereg gatunków literackich przeczy za tym stanowisku Bornsztajna. Jak więc pogodzić ten fakt z teorią naszego biopsychologa, na podstawie której można ustalić — według niego, — z naukową ścisłością rzekomo bezsporny paralelizm między psychofizycznym typem konstytucjonalnym twórcy, a uprawianym przez niego rodzajem literackim, który ma być wytworem pochodnym danego typu duchowego? Niestety, pogodzenie mnóstwa faktów literackich oraz doświadczeń z dziedziny literatury z teorią Bornsztajna nie wydaje się możliwe.

Prof. Bornsztajn obraca się bowiem w kręgu urojonych monolitów piśmienniczych, czyli mówiąc wyraźniej, normatywizmu naukowego, zresztą przestarzałego, zapominając o tym, że normatywizm w ogóle jest fazą przejściową, którą przezwycięża każde pokolenie teoretyków. Jest to legitymacja, a zarazem sprawdzian ich twórczego postępu. Na tym polega również dialektyka pochodu twórczej myśli naukowej.

Prof. Bornsztajn przedstawia nieściśle psychologiczną genealogię dramatu, przeoczając jego pozaosobową, wychodzącą więc poza podmiot osobowy twórcy — funkcjonalną rolę społeczną, gdy przypisuje dramatowi, podobnie jak liryce, „nieprzyjazny, ujemny stosunek do życia" i wiąże jego rodowód ze schizoidalną organizacją duchową twórcy. Ten pogląd kłóci się mocno z sądem, wyrażonym przez autora „o źródłach twórczości" w tym samym szkicu — o twórcach-cykloidach (a raczej pykniko-cykloidach), dramatopisarzach Goethem, V. Hugo, Byronie i Gogolu. Pomijając tę niekonsekwencję autora, należy zauważyć, że dramat wbrew jego stanowisku zawiera wielość postaw, której bez zniekształcenia prawdy nie wolno upraszczać do postawy wyłącznie jednotorowej, t. j. egocentrycznej. W swoim historycznym rozwoju dramat, który wyrósł z pozaatrystycznego podłoża t. j. misteriów religijnych i wyrażał w zaczątkach swojego istnienia poprzez medium twórcy religijną kontemplację zbiorowości, rozczłonkował się wydatnie, wchłonąwszy w siebie najistotniejsze treści rozwojowych procesów życia. Dramat nowoczesny zawiera w wielości postaw, w postaci zresztą przeważnie kryptonimowej, najróżnorodniejsze dyspozycje duchowe twórców, zobiektywizowane jednak wbrew temu, co pisze prof. Bornsztajn. Jeżeli nawet walczył z takimi, czy innymi formami życia, to atakował przeważnie owe zastane, ujemne jego formy w imię afirmatywnych wartości, w imię konkretnego kompasu ideologicznego (Calderon, Ibsen, Shaw, Hauptmann, Wyspiański, Gorki i inni).

Ten sam duch normatywizmu i nałóg syntetycznego schematyzowania ciąży nad sądem Bornsztajna o liryce, gdy mówi o jej „ujemnym stosunku do życia", „o biernej ucieczce" poety lirycznego od rzeczywistości. W istocie stan faktyczny tego zagadnienia wygląda inaczej. W liryce przeważają co prawda bezwątpienia pesymistyczne nastroje, nastroje niechęci i buntu przeciw życiu, przeciw jego irracjonalnym nonsensom, przeciw jego okrucieństwu, jego przymusom moralnym, społecznym i obyczajowym, które narażały tak często osobowość twórców na głębokie konflikty wewnętrzne i życiowe, wreszcie przeciw defektom ustroju społecznego (Liryka społeczna). Ale w liryce współistniał równocześnie i to od pradawnych czasów przeciwległy biegun ujemnej postawy duchowej wobec życia. Piewcą radości życia i jego wielostronnych czarów był żyjący w VI wieku przed Chr. poeta grecki, Anakreon, wyraziciel wybitnie eudajmonistycznego stosunku do życia, a więc nie ujemnego. Pochwałę życia głosił również poeta rzymski Horacy, który wskrzesił w kilka wieków później lirykę typu anakreockiego. I liryka tego typu (anakreocko-horacjańskiego) przetrwała do czasów najnowszych, jako zwierciadło jednego z biegunów różnorodnych reakcji twórców na zjawiska życia. W nowszej poezji europejskiej reprezentował ją między innymi Siewierianin Igor, u nas zaś najwydatniej K. Wierzyński, który rozstał się zresztą w późniejszej fazie swojej twórczości z młodzieńczym hedonizmem poetyckim na rzecz skupionej powagi życiowej, nie pozbawionej akcentów dramatycznych. Jak dramat i powieść na tle wzajemnego oddziaływania na siebie gatunków literackich, na tle mieszania się ich elementów składowych, zawiera także liryka różnorodne nastroje, i wyraża różnorodne dyspozycje duchowe twóreów, od ujemnego często stosunku do życia — do wybitnie pozytywnego, od przeczenia i protestu do dionizyjskiej afirmacji życia, od postawy defetystycznej do bohaterskiej.

I dlatego trudno zgodzić się na pogląd prof. Bornsztajna, który wywodzi rodowód liryki ze schizoidalnego typu konstytucjonalnego — twórcy, zubożając tym samym wielokierunkowy krąg jej nastrojów i nastawień uczuciowych i ograniczając je mylnie do postawy wyłącznie ujemnej. Oto wątpliwości, które nasuwa szkic prof. Bornsztajna, — są one tak nieodparte, że jego propozycje przebudowy metodologii badań literackich należy uz[illegible]za nierealne.

J. E. Płomieński

Czytelnik uważa, że...

W SPRAWIE BRONISŁAWA GRABOWSIEGO

Słuszne są uwagi p. A. Włosińskiego z Częstochowy, który w 25 numerze „Dziś i Jutro" przypomniał nam bardzo już dzisiaj zapomnianą postać historyka literatury Bronisława Grabowskiego. Starsze pokolenie z jego prac i studiów uczyło się w czasach okupacji carskiej historii literatury.

W czeskim numerze „Dziś i Jutro" nie było o Grabowskim mowy, ponieważ informacje o wzajemnych stosunkach kulturalnych Polaków i Czechów daliśmy najogólniejsze, — właściwie pogłębione zajęłyby kilka czy kilkanaście numerów pisma

Oczywiście, należy przypomnieć ogółowi Br. Grabowskiego, zasłużonego dla kultury polskiej historyka literatur słowiańskich, pracującego w jakże ciężkich warunkach osobistych. Musiał zarabiać na życie jako nauczyciel średniej szkoły rosyjskiej w Pinczowie. Musiał uczyć w straszliwym partykularzu, choć uroczo położonym i o tradycji kulturalnej wprost olbrzymiej, w dziejach naszej myśli filozoficznej i pedagogicznej. Wielkie jeszcze szczęście, że cenna energia Grabowskiego, wydatkowana w progimnazjum pinczowskim, szła, jak się dowiadujemy od p. A. Włosińskiego, na wielki pożytek jego uczniów, bo mogło być inaczej (dodam dla informacji, że progimnazjum pinczowskie było miejscem zsyłki różnych „niebłagonadiożnych" w oczach władz pedagogów, głównie oczywiście polskiego pochodzenia).

Byłoby dobrze, gdyby p. Włosiński zechciał spisać dokładne wspomnienia swoje o Br. Grabowskim z czasów swej nauki w Pinczowie. Zużytkujemy je odpowiednio. Byłoby również dobrze zająć się uporządkowaniem grobu Br. Grabowskiego na cmentarzu pinczowskim. Obowiązek ten należy jednakowo do żyjących jeszcze wychowanków uczonego jak i do naszych instytucji kulturalno-oświatowych, może nawet z Ministerstwem Kultury i Sztuki na czele

Juliusz Nowak-Dłużewski

O JANIE WYPLERZE

Czytając w „Dziś i Jutro" krótkie sprawozdanie z utworu „Kredowe Koło", granego obecnie w Teatrze Młodego Widza w Krakowie, ze zdumieniem dowiaduję się, że tłumacz tej sztuki Jan Wypler, jest obywatelem radzieckim i mieszka w Moskwie. Otóż mogę zapewnić p. Alinę Świderską ponad wszelką wątpliwość, że tłumacz, (którego nazwisko niestety w recenzji nie jest podane — a może brzmienie tego nazwiska byłoby recenzentkę skłoniło do dokładniejszego poinformowania się o osobie tłumacza) prof Jan Wypler mieszka w Katowicach przy ulicy Dąbrowskiego 3 i jest mi osobiście znany. Nieścisłość informacji podanej przez p. Alinę Świderską jest tym bardziej zdumiewająca, że swego czasu (mniej więcej półtora roku temu) „Dziennik Zachodni" poświęcił osobie i pracy prof Wyplera wielką część swego dodatku tygodniowego „Świat i Życie", wskazując na jego zasługi dla nauki w zakresie sinologii.

Wydaje sie, że nie obejdzie się bez sprostowania takiej omyłki!

Z poważaniem
Rudolf Buchała
Katowice

SINE IRA

Głos prędkich

Uśmiechnięty „pod względem oblicza" — jakby powiedział Ejsmond — przeglądałem ostatni tj. z dnia 1 czerwca 1950 roku numer „Głosu Wolnych". Wesołego tego pisemka nie czytuję stale, bo ja nie jestem człowiek wolny, ale ciągle zajęty, jednak od czasu do czasu, zwłaszcza w okresie kanikuły czyli psiej gwiazdy — jakby powiedział Andrzej Morsztyn — lubię sobie poczytać, co piszą ludzie wolni.

Ludzie wolni piszą o polityce i religii, o tym, dlaczego zostali niewierzącymi, o sprawie miłosierdzia, o koszuli siostry Joanny i wielu rzeczach bardzo religijnych. Oczywiście piszą cum piano na uściech. Wolno im.

Ale czy nie mogliby nam kiedyś — przy okazji — wytłumaczyć, od czego są wolni? Od kompleksu antyreligijnego?

Grzmij do mnie jeszcze

Do poważnych refleksji nad polskim poczuciem humoru doprowadziła mnie notka pana grz. (Nowa Kultura 12), który grzmi na temat mojej notki o jego notce. A wszystkiemu winien — Podsiad. Widzicie, było tak. Pan grz. wykrył u niego „zastanawiające zbieżności" Ponieważ uważałem, że dla p. grz. dobrze będzie, jeśli znów znajdzie jakiś przedmiot do zastanowień, podałem mu informację „biograficzną", która można było zrozumieć właściwie. Przeliczyłem się Bo pan grz. zaczął liczyć. Bez współczynnika humoru. Wyliczył, że Podsiad miał jedenaście lat, gdy Miłosz (wieku pan grz. nie podaje) napisał wiersz, z którego itd.

Co z tego wynika?

Primo: że pan grz. posiada wiadomości z matematyki w zakresie szkoły podstawowej, co mu się chwali, Secundo: że gorliwie studiuje „Dziś i Jutro", co mu się chwali, Tertio: że poczucia humoru nikt go nie nauczył, co mu się gani. Quarto: że nie nauczono go deklinacji, bo wtedy nie zastanawiałby się jak brzmi „Licho" w dativie. Quinto: że będzie chodził z nosem na kwintę, dopóki nie rozwiąże następnej zagadki, którą jego gorliwość mogę zaspokoić. Oto Podsiad nie czytał ani Różewicza, ani Miłosza. A kuku! Proszę o dowody że czytał.

W zanadrzu mam jeszcze dla pana grz. kilka niespodzianek. Podsiad może się okazać: a) kobietą, b) redaktorem „Dziś i Jutro" c) duchem wywołanym na seansie spirytystycznym. Jak więc widzimy pan grz. będzie miał co robić.

„Warszawo" ty moja „Warszawo"

Niezależny (?) dwutygodnik (?) literacki (?) wzrusza mnie każdym swoim numerem. Najciekawsza w treści ostatniego tj. 4 z dnia 15 — 30 kwietnia br. numeru wydaje mi się kolumna siódma i ósma. Za interesowani mogą się przekonać, że w tak szczupłych ramach poruszono prawie 80 (słownie osiemdziesiąt!) tematów. Uważać to należy za największy triumf redakcyjny Jana Szczawieja.

Licho

POPIERAJCIE
KATOLICKI
UNIWERSYTET LUBELSKI

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 13: I p. Konto P.K.O. — Nr 1-727.
Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz poniedziałków i piątków, godz. 12 — 13.
Druk. Skolimowska 8.
Wydawca: Kolegium Redakcyjne
Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych
B-114320